



10 Rok XVI
(799)

CENA 1.50 ZŁ

11.3.73



Fragment ulicy Piotrkowskiej

RYSZARD BINKOWSKI

STYPA NA WALIZKACH

(Czytaj na str. 4)

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Był rok 1928. Ilija Erenburg napisał reportaż o Łodzi.

Jest rok 1973 – 150 rocznica powstania Łodzi przemysłowej. Przypominamy Łódź sprzed 45 lat, miasto widziane oczyma radzieckiego publicysty i pisarza.

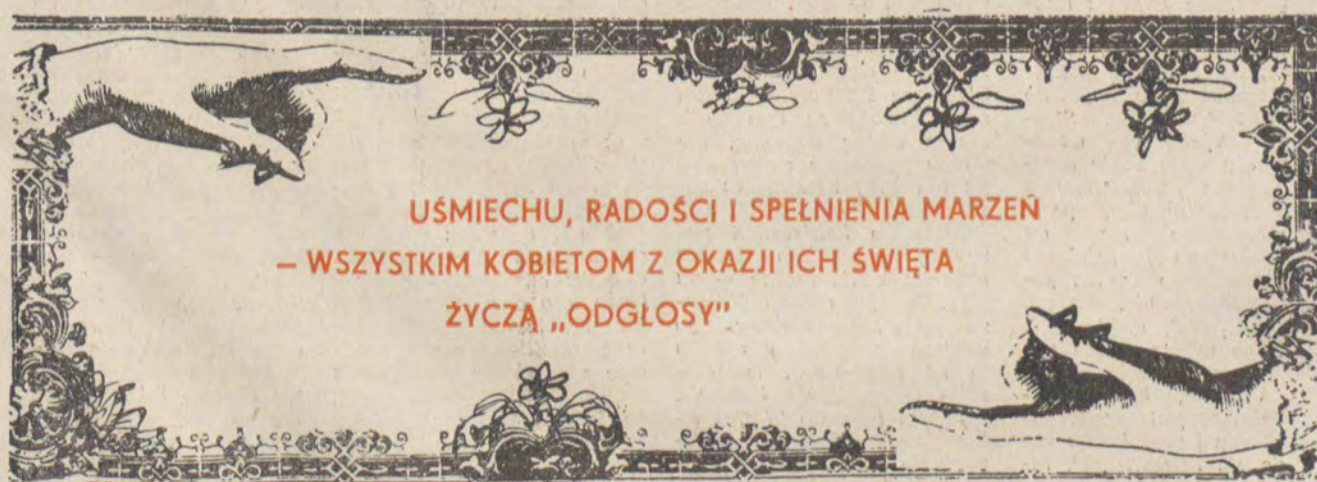
ŁÓDŹ BIEGA NAGO PO ŚWIECIE...



ILIA ERENBURG

Łódź nie jest Warszawą, Łódź to „naga rzeczywistość”, miasto bez komplementów, bez cukierni, ba, nawet bez poetów. Zamiast szminki jest tutaj oblicze, a przy tym takie oblicze, którego się nigdy nie zapomni, gdy się je raz widziało. Wy, miłośnicy egzotycznego życia, kupcy czarującej naiwności, międzynarodowi Paul-Morandowie – nie śpieszcie do Łodzi, omijajcie to miasto! Kobiety są tu nudne do zgrzytania zębów, a ich włosy pachną dymem fabrycznym. Przeżycia są tu lakoniczne i skondensowane. Ich treścią jest albo złoto, albo krew. Małomówne miasto.

(Dalszy ciąg na str. 6)



UŚMIECHU, RADOŚCI I SPEŁNIENIA MARZEŃ
– WSZYSTKIM KOBIECIOM Z OKAZJI ICH ŚWIĘTA
ŻYCZĄ „ODGŁOSY”

GRANDBOLOGIA

Raport nieobecnych (II)

ANDRZEJA
MAKOWIECKIEGO
W NASTĘPNYM
NUMERZE



Kwiaty kojarzą się z najpiękniejszymi uczuciami – miłością, radością, szczęściem, wdzięcznością. Czasem też ze smutkiem i żalem. O kwiatach, kobietach i miłości pisują poeci. Kwiaty są tematem wielu obrazów. Kwiaty zaspokajają naszą tęsknotę za pięknem na co dzień. Dlatego trudno przejść obojętnie obok sklepowych wystaw z kwiatami – wystaw na pewno najładniejszych, przed którymi zatrzymujemy się nie po to, żeby sprawdzić ceny, ale po to, żeby przez chwilę choć nacieszyć się urokiem kwiata.

Jedną z najbarwniejszych i najciekawszych jest wystawa kwiaciarni „Konwalia” przy ulicy Piotrkowskiej. Kierowniczką tej kwiaciarni jest Helena Wenderbaum – najlepsza niewątpliwie bukiciarka w Łodzi, uczestniczka międzynarodowych konkursów układania kwiata.

– Dziś się już nie używa terminu „bukiciarka”, a przecież oznacza on coś więcej niż tylko handlowanie kwiata.

– Bo też i nie ma dziś takiej nazwy zawodu – odpowiada Helena Wenderbaum. – Kiedy ja zaczynałam pracę w kwiaciarni, a był to rok 1937, musiałam przejść trzyletnią praktykę, po której dopiero zdobyłam kwalifikację bukiciarki. Praktykowałam w „Złocieniu”, jednej z najbardziej znanych wówczas kwiaciarni w Łodzi. Dziś nie ma zawodu bukiciarki, jesteśmy po prostu ekspedientkami.

(Dalszy ciąg na str. 3)

ODGŁOSY

Od dawna mówimy o związkach sztuki z życiem. Wszyscy są zgodni, że jest to konieczność zarówno dla twórców, jak i jeden z warunków harmonijnego rozwoju społeczeństwa. Nikt nigdy nie kwestionował takich postulatów, ale zwykle kończyło się na słowach. Ostatnie spotkanie ludzi sztuki z budowniczymi Portu Północnego stało się przykładem, że może być inaczej. Ostrożniejsi optymiści mogą powiedzieć, że jest to dopiero zapowiedź zmian. My sądzimy, że dokonano już pierwszego kroku.

Podobne inicjatywy rysują się również na łódzkim gruncie. I co ważniejsze: że środowiska twórcze wyszły już na forum publiczne. Kilka dni temu przed kamerami telewizyjnymi redaktor naczelny LOT Edward Zsuzer zwrócił się do ludzi twórczych i nadających kształt kulturze regionu — o podjęcie inicjatywy idącej w kierunku związania ludzi sztuki z przemianami jakie dokonują się w naszym mieście. Wielki problem jakim jest przebudowa naszego miasta może na pewno spełnić z jednej strony rolę inspiratorską, a z drugiej — rolę katalizującą. Jak również dać określoną i ważną społecznie satysfakcję autorom i twórcom tego najważniejszego zadania w 550-letniej historii Łodzi.

„Łódzki Port Północny” to hasło wywoławcze, które wyma-

ga przekładu na język konkretnych ustaleń i poczynań. Wydaje się jednak, że w tym momencie, sprawą godną całkowitego poparcia. Jako pismo społeczno-kulturalne (ale nie tylko dlatego) deklarujemy w sposób uczestniczący w każdej inicjatywie mającej na celu to wszystko, co określamy skrótem myślowym „sojusz pracy ze sztuką”.

Inicjatywa LOT trafia po części na przygotowany grunt. Nie tak dawno odbyło się spotkanie, (na wniosek egzekutywy POP przy Związku Literatów Polskich) pisarzy z kierownictwami łódzkiej prasy codziennej. Spotkanie może nie w każdym punkcie udane, ale znamienne i pożyteczne dla obu stron. Znamienne, bo pierwsze w historii. Pożyteczne, bo otwierające możliwość szerszego kontaktu ludzi pióra ze społeczeństwem za pośrednictwem gazet o wieloletniej tradycji. To duża szansa na przełamanie mitów o izolacji pisarzy od życia, stworzenie klimatu szerokiej akceptacji społecznej dla twórczości odpowiadającej duchowi naszych czasów.

Fakt zgłaszania inicjatyw w różnych środowiskach, niezależnie od siebie, ma swoją wymowę. Jest świadectwem potrzeb i głębokiego przekonania środowisk kultury, że istnieje możliwość zrealizowania „wielkiej i lepiej”. Jest to również szansa na większą niż dotychczas integrację środowisk twórczych, rzecz niezwykle ważną, aczkolwiek niełatwą. Zawsze docenialiśmy ten problem i wielokrotnie dawaliśmy wyraz takiej potrzebie. Może wreszcie będziemy mogli pokazać naszym Czytelnikom jak życzenia zamieniają się w fakty.

„MNIJ MATERIAŁÓW - WIĘCEJ MYŚLI”

Wiadomo, że nie należymy do krajów zbyt bogatych w surowce. W ogóle nie jesteśmy zbyt bogaci. Nie stać nas w każdym razie na pewno na taką gospodarkę materiałami i surowcami jak dotychczas. Unowocześniając gospodarkę, dążąc do maksymalizacji dochodu narodowego nie możemy ani przez moment zapominać o społecznych kosztach wytworzenia, one bowiem m. in. określają poziom życia społeczeństwa.

Tym ważnym zagadnieniem poświęcone było VIII Plenum KC PZPR. Problem jest bardzo trudny i skomplikowany. Rzecz nie polega bowiem tylko na prostej czy dosłownej oszczędności wszystkiego i wszędzie, lecz opartej na nauce i praktycznych doświadczeniach racjonalizacji gospodarki materiałowej. Chodzi więc o wielokierunkową, skoordynowaną działalność w mikro i makroskali, o kompleksowe podejście do problemu. Chodzi o optymalne wykorzystanie bogactw naturalnych kraju uwzględniając dzisiejsze potrzeby i potrzeby jutra, jak również ochronę naturalnego środowiska człowieka.

Na VIII Plenum KC po raz pierwszy ten problem potraktowano tak wszechstronnie. Plenum było jednocześnie jakby ukoronowaniem prac od dawna podjętych. Z jednej strony ustaleń ekspertów, z drugiej konkretnych działań w zakładach pracy, gdzie opracowano szczegó-

we programy działania od stanowiska roboczego w górę. Bilans wstępny tych pierwszych doświadczeń wskazuje na realną możliwość obniżenia w b.r. kosztów produkcji o 1,5 procent. W przeliczeniu na złotówki są to sumy olbrzymie!

Od kogo zależy pomyślna realizacja tego zadania? Nie sposób wymienić wszystkich ogniw zarządzania i gospodarowania, ale wskażmy przynajmniej na niektóre, by pokazać rozległość problemu, zaakcentować fakt, że nie mamy w tym wypadku do czynienia z kolejną kampanią, ale przejściem do stałej praktyki, która jest koniecznością, sprawą fundamentalną.

A więc, po pierwsze, przygotowanie produkcji, konstrukcyjne i technologiczne, „odchudzenie” nadmiernej ciężkiej masy i urządzeń. Praktyka dowiodła, że zespoły fachowców działające w oparciu o metodę analizy wartości potrafiły obniżyć ciężar produkowanych dotychczas urządzeń o 30 a nawet więcej procent! Przeliczmy to na tony nieraz deficytowych, importowanych surowców.

Dalej, odwieczny nasz problem zapasów materiałowych i związanych z nim prac służb zaopatrzeniowych. Nagromadziliśmy w naszych przedsiębiorstwach niepotrzebnych materiałów na miliardy złotych. W przeliczeniu magazynach (których n. b. mamy za mało) tkwią miliardy społecznych złotych, zamrożonych i nieopracowanych. Pro-

blem ten wiąże się oczywiście z funkcjonowaniem systemu kierowania i rozliczania gospodarki i poprzez ten system zostanie generalnie rozwiązany. Ale jest tu również wielkie pole do popisu dla wszystkich pracowników, służb zaopatrzeniowych, średniego i wyższego dozoru. W równym więc stopniu chodzi o wykorzystanie najprostszych rezerw: uporządkowanie magazynów, aktualizację norm zużycia materiałowego, zlikwidowanie marnotrawstwa na placach budów, w transporcie, itd.

W szerszej perspektywie patrząc, należy dążyć do zwiększenia efektywności działań służb badania jakości, informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej, normalizacji i typizacji wyrobów, stosowanie subtytułów, wyzwalanie inicjatyw oddolnych i upowszechnianie edukacji ekonomicznej załóg. Chodzi o upowszechnianie świadomości, że oszczędne gospodarowanie to najkrótsza droga do wzrostu poziomu życia społeczeństwa.

„Idzie przede wszystkim o jakościowe przemiany w gospodarowaniu — powiedział w przemówieniu końcowym na VIII Plenum Edward Gierek — o to, aby w wyrobach naszego przemysłu i rolnictwa zmniejszyły udział materiałów, a zwiększył udział myśli ludzkiej. Innowacji technicznej, przodujących rozwiązań technologicznych, udział zdolności i kwalifikacji, zaradności i pomysłowości”.

J. ZAK

GRUPA KRWI

Różne instytucje bardzo lubią chwalić się, ile to pod ich adresem zgłoszono postulatów i ile z tego zrealizowano. Z danych tych niebicie wynika, że różne instytucje bardzo cieszą się z tego, że ludzie myślą i potrafia to myśleć właściwie z powszechnym pożytkiem wykorzystywać. Nie pozostaje nam nic innego jak cieszyć się razem z tymi różnymi instytucjami, ale...

W każdej sprawie można znaleźć takie „ale” i czasem jest to zwykłe czepianie się, a czasem — po prostu krytyczna uwaga na temat formalistycznego podchodzenia do rzeczywistości.

Od dawna rozsądni ludzie wolałi o wpływanie grupy krwi do dowodu osobistego. Swęgo czasu wiele mówiono i pisano na temat tego, że dowód osobisty jest podsta w o w y m dokumentem i dzięki temu można wyeliminować wiele zupełnie zbędnych zaświadczeń. Wszyscy wrpawdnie przyznali rację, ale nadal tu i ówdzie wymaga się owych zbędnych zaświadczeń. Tym, niemniej, nikt nie ma wątpliwości, że dowód osobisty nadal pozostał podstawowym dokumentem i każdy powinien zawsze nosić go przy sobie. A że żyjemy w coraz bardziej cywilizującym się świecie, gdzie wypadki już nie chodzą po ludziach a czasem wręcz pedzą z szybkością samochodu lub odrzutowego samolotu, posiadanie grupy krwi w dowodzie

osobistym może nie jeden raz pomóc przy ratowaniu ludzkiego życia.

I oto wreszcie mamy rozsądną decyzję. Postanowiono przeprowadzić akcję wypisywania grup krwi do dowodów osobistych. Rozpatrzone zostały nie dawno zgłoszony postulat, ale — jak na razie — nie wydano... zarządzeń wykonawczych. Nie wiadomo np., w którym miejscu dowodu osobistego będzie się tę grupę krwi każdego z nas wpisywać. Drobnostka. Nie wiadomo też jak się tę akcję przeprowadzi. Druga drobnostka. I znowu mamy — podobnie zresztą jak to było w przypadku pocztowego kodu — pożyteczny, więcej niezbędny nawet pomysł, ale niedopracowany organizacyjnie. Zawsze w takich wypadkach rodzi się u mnie refleksja: czy przypadkiem nie lepiej poczekać troszkę i należeć

tałą akcję przygotować? I czy zaraz musi to być akcja?

Myślę, że przede wszystkim trzeba zacząć od tych, którzy występują o wydanie im dowodu osobistego. Składając niezbędne dokumenty patent powinien złożyć też zaświadczenie z grupy krwi. To raz. Po drugie — wydaje mi się, że do akcji tej — jeśli to już musi być akcja — trzeba wykorzystać zakładowe ambulatoria. W wielu instytucjach można badanie grupy krwi przeprowadzić szybko i sprawnie i raz na zawsze mieć całą imprezę z głowy, a grupy krwi w dowodzie osobistym.

Okazuje się, że samo stwierdzenie, iż postulat został przyjęty, do realizacji nie oznacza jeszcze, że został wprowadzony w życie. Czasem to wprowadzenie w życie, jeśli nie będzie należycie przygotowane, może iść opornie i z przeszkodami. O, choćby tak, jak realizacja postulatów mieszkańców Łodzi pod adresem PKP. Od dawna domagamy się rozsądnych połączeń „środkami polskimi” z rejonami peryferyj-

nymi kraju, w których zlościła natura rozlokowała ośrodki wypoczynkowe i turystyczne. Nowy rozkład jazdy, który za kilka miesięcy wejdzie w życie, spełnia część naszych postulatów. Będziemy więc już znacznie wygodniej jeździć do Kołobrzegu, Gdyni i Kudowy. Nadad będziemy narzekać na fatalne połączenia z Zieloną Górą i Rzeszowem. Mam zresztą poważne wątpliwości, czy nie będziemy narzekać też i na inne. A wątpliwości moje biorą się z długoletniego obcowania z PKP. Tak się dzieje bowiem składa, że bardzo chętnie korzystam z kolejowej komunikacji. Heleńko jednak wiadom, że wyrażam pracownikom PKP niewystawioną przykrość, narazając ich na ambaras. Nie mam jednak innego wyjścia, bo to nie PKP jest dla mnie, a ja dla PKP i ja muszę korzystać z ich usług. Chyba, że kupię sobie samochód. Wtedy skończy się moje kłopoty z PKP, a zaczyna z CPN i TOS. Na jedno wychodzi.

MARCIN RODAK

ZE ŚWIATA

Zwyczajem realizmu politycznego zakończyła się paryska konferencja na temat Wietnamu. I to zakończyła w planowanym czasie, w dotrzymanie którego nie wierzyła większość komentatorów. Już piątego dnia przewodniczący delegacji złożyli podpisy pod dokumentem końcowym, który w dziewięciu artykułach zawiera postanowienia wszystkich uczestników konferencji i ich zobowiązania do respektowania przyjętych zasad. Dokument opublikowany został na łamach prasy codziennej i nie ma potrzeby szczegółowo omawiać go. Zwrócimy więc tylko uwagę Czytelników, posługując się jego tekstem, na zawartą tam ocenę porozumienia paryskiego z dnia 27 stycznia oraz rolę uczestników konferencji w gwarantowaniu pokoju w Wietnamie.

Artykuł 2 dokumentu końcowego tak ocenia porozumienie o zakończeniu wojny:

„Porozumienie odpowiada pragnieniom i podstawowym prawom

narodowym ludu wietnamskiego tj. prawu do niepodległości, suwerenności, jedności i integralności terytorialnej Wietnamu, prawu ludności południowietnamskiej do samostanowienia oraz wspólnym najszerszym dążeniem wszystkich krajów świata do pokoju. Porozumienie stanowi doniosły wkład w dzieło pokoju, samostanowienia, niepodległości oraz poprawy stosunków między krajami...”

Jest w tych słowach zawarta nie tylko pełna aproba dla porozumienia, ale także wyrażona nadzieja, że będzie ono korzystnie oddziaływać na proces odprężenia w świecie. Wartość tej nadziei może być mierzona podpisami przedstawicieli pięciu wielkich mocarstw.

Przed 19 laty, na konferencji genezyjskiej, USA nie złożyły swego podpisu, co, jak się później okazało, znakomicie im ułatwiło włączenie się w wojnę wietnamską. Tym razem Stany

Zjednoczone pod ójnie będą odpowiedzialne za przywrócenie pokoju w Wietnamie: jako sygnatariusz porozumienia paryskiego i uczestnik międzynarodowej konferencji.

O roli państw, które złożyły swe podpisy pod dokumentem końcowym, w zapewnieniu pokoju mówią dwa artykuły. Oto brzmienie artykułu 4:

„Strony niniejszego dokumentu uroczyście uznają i ściśle respektują podstawowe prawa narodowe ludu wietnamskiego tj. prawo do niepodległości, suwerenności, jedności i integralności terytorialnej Wietnamu, jak również prawo ludności południowietnamskiej do samostanowienia. Strony niniejszego dokumentu będą ściśle przestrzegać porozumienia oraz protokołów, powstrzymując się od wszelkiego działania niezgodnego z ich postanowieniami”.

Inny artykuł, artykuł 7 ustala, że w przypadku pogwałcenia porozumienia:

„Strony, będące sygnatariuszami porozumienia i protokołów będą się konsultować, in-

dywidualnie lub wspólnie, z innymi stronami podpisującymi niniejszy dokument w celu ustalenia niezbędnych środków zaradczych”.

Te zobowiązania i postanowienia dały paryskiej konferencji nazwę konferencji gwarantów. Oczywiście, odpowiedzialność za utrwalenie osiągniętego pokoju w Wietnamie spoczywa przede wszystkim na czterech stronach styczniowego porozumienia, ale i pozostałych osiem krajów obliuguje do aktywnej roli w przywracaniu pokoju. Jak mówił w Paryżu m. in. S. Olszowski — „ich obowiązkiem jest postępować tak, aby czynniki, które w 1956 roku nie dopuściły do wybuchu w Wietnamie Płd. i spowodowały na tym obszarze wojnę domową, nie mogły ponownie sprowadzić na ten kraj kataklizmu wojennego”.

Pisząc o konferencji paryskiej na jedno jeszcze trzeba zwrócić uwagę — na jej klimat, gotowość rozmownych kompromisów. To właśnie zasadniczo różniło ją od konferencji genezyjskiej w sprawie Indochin przed 19 laty. Co to sprawiło? Atmosfera ogólnego odprężenia w świecie, fakt, że

także w innych stolicach toczą się rozmowy na temat pokoju.

Jedną z nich są Helsinki, gdzie po dwutygodniowej przerwie wznowiono konsultacje 34 państw, przygotowujące europejską konferencję.

Decyzją uczestników konsultacji powołano grupę roboczą, o której wiadomo, choć jej prace mają charakter poufny, że dyskutuje głównie problem zasad wstąpienia państw w Europie. Ustalenie takiego trybu uzgodnienia treści pierwszego punktu porządku dziennego konferencji przyspiesza prace. W Helsinkach panuje więc optymizm co do możliwości osiągnięcia rychło postępu.

Zainteresowanie opinii publicznej kieruje się również w stronę Wiednia — w związku z konsultacjami na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie.

W ub. tygodniu zebrała się w Brukseli Rada NATO. Chociaż odmówiono komentarzy, czy dyskutowano tam jakieś nowe propozycje, które pozwoliłyby wyprowadzić wiedeńskie rozmowy z impasu, panuje przekonanie, że jednak uda się zwołać sesję plenarną w stolicy Austrii.

Za wydarzenie tygodnia trzeba uznać propozycję Pekinu, zgłoszoną pod adresem administracji tawajskiej, podjęcia formalnych lub nieoficjalnych rozmów w sprawie zjednoczenia kraju. ChRL zawsze dążyła do przyłączenia wyspy do metropolii i w tym sensie ta propozycja nie jest czymś zupełnie nowym. Tym razem jednak sformułowana została jednoznacznie. Jak informują obserwatorzy pekinijscy, jest rzeczą wątpliwą, aby spotkała się ona z konstruktywną odpowiedzią Tawanu. Jaki więc cel przyswiewać tej zgłoszeniu? Dość powszechnie uważa się, że dalekosiężny. Przywódcy pekinijscy chcieli w ten sposób otworzyć możliwości przyszłych rozmów, dając jednocześnie Czang Kai-szekowi do zrozumienia, że Waszyngton zainteresowany jest dobrymi stosunkami z Pekinem i na dłuższą metę — kosztem tych stosunków — nie będzie wspierał Tawanu. Zauważmy, że propozycja zgłoszona została po wizycie Kissingera w Pekinie.

O niedzielach wyborczych we Francji i Chile napiszemy w przyszłym tygodniu.

W. SLAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SLAWSKI.

PREZENTACJE



Fot. R. Jaworski

KOBIETA I KWIATY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Ale przecież są chyba do tego potrzebne specjalne umiejętności?

— Nie wydaje mi się. Nie wyobrażam sobie, aby któraś z kobiet latem, kiedy jest mnóstwo kwiatów nie próbowała ułożyć w domu kolorowego bukietu. Trzeba trochę fantazji, trochę smarku, trochę dobrych chęci. Mamy zresztą teraz tyle różnych pism i żurnali, w których można bez trudu znaleźć propozycje różnorodnych kompozycji z kwiatów. Wystarczy je podpatrzeć i powielić.

Co prawda w Japonii są szkoły, w których każda kobieta uczy się sztuki układania kwiatów, bo tam jest to oddzielna dziedzina sztuki, ale moim zdaniem nie

potrzeba tutaj specjalnego kształcenia. Zawsze najgorzej jest tylko początek, później nie można już wstawić byle jak kwiatów do wazonu.

— Sądzę, że Pani pochlebia niektórym kobietom. Nie wszystkie widzą różnicę między kwiatami włożonymi do wazonu a ułożonymi w wazonie. Chyba jednak trzeba się tego uczyć, tak, jak nie wystarczą tylko chęć sprzedawać kwiaty.

— Kształcenie młodzieży dla potrzeb kwaciarstwa odbywa się u nas w ten sposób, że uczennice szkół handlowych, które deklarują chęć pracy w kwaciarni przychodzą do nas na praktykę. Co roku przez naszą

kwaciarnię przewija się około 10 dziewcząt i tylko w ubiegłym roku było ich mniej niż zwykle.

— Czyżby spadek popularności tego zawodu?

— Nie sądzę, tym bardziej, że ja osobiście widzę przyszłość dla kwaciarstwa w Łodzi. Miasto się rozwija. Powstają nowe dzielnice i muszą tam powstawać nowe kwaciarnie. Trzeba tylko trochę więcej o tym zawodzie mówić, bo jest to najwładziejniejsze zajęcie dla kobiety. Dla mnie kwiat jest czymś najpiękniejszym i codzienne obcowanie z kwiatami daje mi wiele zadowolenia.

— A minusy tego zawodu?

— Są oczywiście, jak w każdym. Jest to praca stojąca, kwiaty są mokre i niszczy się ręce. W pomieszczeniu, gdzie przechowuje się i układa kwiaty musi być chłodno. Ale te minusy pomniejsza fakt, że mamy coraz to nowe kwiaty i że kwiatami sprawia się ludziom przyjemność.

— Kwiatami ładnie ułożonymi. Czy w bukietach też obowiązuje moda?

— Tak. Dawniej na przy-

chyba stał, że we współczesnym świecie operuje się ostrymi, kontrastowymi kolorami.

— Skąd się wziął zwyczaj kupowania kwiatów w ilości nieparzystej?

— Sądzę, że chyba z tradycji japońskiej szkoły układania kwiatów. Obowiązują tam ścisłe proporcje, nie może być na przykład łącznie więcej jak trzy gatunki kwiatów. My też utrzymujemy ten zwyczaj i jeśli robimy wiązanek ślubną z kwiatów różnokolorowych, to trzymamy się zasady — najwyższe trzy gatunki i trzy kolory.

— A jakie są obecnie najmodniejsze zestawienia kolorów?

— Choćby — biały z czerwonym, różowy z żółtym, lila z białym. Ta moda różnokolorowych bukietów przeniosła się dziś i na okazje mniej uroczyste niż ślub, coraz częściej takie wiązanek zamawia się choćby z okazji imienin.

Zaginęła natomiast moda na kosze z kwiatami. Dziś zamawia się je z reguły dla aktorów. Wiąże się to z charakterem naszych mieszkańców, w których najczęściej

nie ma miejsca na duży kosz z kwiatami. Toteż, jeżeli nawet ktoś kupuje w prezencie kwiat doniczkowy, prosi o kamionkę bardziej pasującą do współczesnego mieszkania niż tradycyjna doniczka.

— Do tej pory mówiliśmy o kupowaniu kwiatów, a nie jeszcze o tych, którzy je kupują.

— Klientów podzieliłabym z grubsza na trzy kategorie. Część z nich, to klienci zdecydowani, którzy wiedzą czego chcą i narzucają nam swoje upodobania. Inni z tych jest najwięcej — polegają na naszym doświadczeniu i ci są najmiłszymi klientami. Można im podsunąć ciekawe i oryginalne propozycje. Pozostali, to ludzie nie tylko niezdecydowani, ale i kapryśni, którzy nie bardzo wiedzą, czego chcą. Wychodzą oni najczę-

ściej z kwaciarni niezadowoleni.

Urok kwiatów powoduje, że nasi klienci zachowują się inaczej w kwaciarni niż w jakimkolwiek innym sklepie. Są po prostu subtelniejsi.

Mam też wielu stałych klientów, którym „towarzyszę” najczęściej od ślubu, poprzez narodziny dziecka i inne domowe uroczystości aż do smutnych okazji, kiedy kupują dla kogoś bliskiego wieniec.

— Jakie kwiaty najczęściej się kupuje?

— Zależy to od pory roku i od tego, czym aktualnie dysponujemy. Ale i tu istnieje pewien stereotyp — goździki. Kupuje się je na wszelkie okazje i dla wszystkich.

— Czy Pani się domyśla dla kogo kupowane są kwiaty?

— Proszę pani, jeśli przychodzi mężczyzna i długo wybiera różę, to chyba wiadomo komu kupuje. Czasem przychodzą panowie z dziwnymi żądaniem. Jeden pan koniecznie domagał się wiązanek z „frustracją”. Długo zastanawialiśmy się, o co mu chodzi, aż się okazało, że po prostu o... frezje. Nie ma pani chyba wątpliwości, że kupował je dla kobiety, która lubi frezje.

— A jakie Pani lubi kwiaty?

— W bukietach — różę, żonkile, bez. Do domu najczęściej kupuję tulipany.

— Czy często dostaje Pani kwiaty?

— Moi znajomi uważają, że skoro pracuję w kwaciarni, to mam dość kwiatów i dlatego przynoszą mi na imieniny inne prezenty.

— A małż, dzieci?

— Dzieci kupują mi kwiaty z różnych okazji i wtedy prześcigają się w pomysłach, tyraniując zapewne moje

koleżanki z innych kwaciarni.

— Kupowanie kwiatów dla Pani jest chyba rzeczą dość ryzykowną. Należy Pani do najlepszych bukietciarek w Polsce, brała Pani udział w międzynarodowych konkursach układania kwiatów.

— Jednakowo cieszę się z każdego kwiatka i każdy jest dla mnie piękny, a poza tym każda z nas ma inny sposób komponowania bukietu i to dla mnie jest zawsze interesujące.

— Na czym polega konkurs układania kwiatów?

— Uczestniczyłam w dwóch międzynarodowych imprezach, które nazywają się „Puchar Europy w bukietarstwie”. W 1967 roku w NRF i w 1969 — we Francji. Udział w takim konkursie wymaga ułożenia pięciu kompozycji: bukiet ślubny, dekoracja stołu, kompozycja w stylu narodowym, wiązanek odręczna oraz ikebana. Najbardziej jednak lubię układać bukiety ślubne.

— Pora kończyć naszą rozmowę, bo widzę, że koleżka klientów wyduła się. Więcej ostatnie pytanie: co Pani sądzi o „Kwiatku dla Ewy” na 8 marca?

— Jest to bardzo ładny i sympatyczny zwyczaj. Uważam, że dla kobiety kwiaty są najmiłszym prezentem. Co prawda my w ten dzień mamy wyjątkowo dużo pracy, ale też i wiele satysfakcji, kiedy pod wieczór kwaciarnia jest doszczętnie wymieciona z wszystkiego, bo kwiat przypomina a panowie w dobrych humorach próbują kupować nawet sztuczne kwiaty.

— Nie pozostaję mi nie innego, jak życzyć, aby i Pani otrzymała tego dnia dużo kwiatów.

— Dziękuję i wzajemnie.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



CO PRZYNIOSIŁ ROK NAUKI POLSKIEJ?

Bieżący rok został ogłoszony jako Rok Nauki Polskiej. Przypominając tradycje Kopernika i Komisji Edukacji Narodowej, mamy dokonać obrachunku dnia dzisiejszego, a zarazem w oparciu o możliwości kadrowe i materialne wykreślić perspektywy rozwojowe polskiej nauki na najbliższe 10 lat.

Nie chodzi więc o wyeksponowanie stanu samozadowolenia, lecz o uświadomienie miejsc słabszych, o skoncentrowanie dalszych wysiłków na przezwyciężenie trudności, stworzeniu warunków tym, którzy mogą i powinni kierować badaniami naukowymi.

kl materialne placówki PAN-u, jak dotychczas, mogą prezentować dorobek naukowy znacznie przewyższający osiągnięcia kolektywów szkół wyższych nie mówiąc już o Instytutach resortowych, których dorobek jest bardzo skromny, jeśli porównać nakłady finansowe i osiągnięte wyniki.

Szkolnictwo wyższe od 1968 roku znajduje się w stanie permanentnych reform i reorganizacji. Nie sprzyja to efektywności badań, natomiast stwarza warunki do wszelkiego rodzaju rozrywek personalnych.

Nowo kreowane Instytuty, powstałe ze zlepków katedr nie mogą poszczycić się zwiększeniem efektywności kształcenia młodej kadry. Spadła ilość przewodów habilitacyjnych, choć równocześnie wzrosła ilość przewodów doktorskich, ale dzięki specjalnie uruchomionym studiom doktoranckim i seminarium dla kandydatów spoza uczelni, przy równoczesnym wydłużeniu się czasokresu uzyskiwania stopni naukowych przez asystentów.

Równocześnie w Instytutach Akademii Nauk widzimy swego rodzaju wysięk i tytuły naukowe, które stanowią warunek awansu. Przy Instytutach PAN wzrosła liczba osób uczęszczających na studia doktoranckie. Oznacza to kształcenie przyszłych pracowników w naszym zakresie, choć stosunkowo niedawno jeszcze placówki Akademii wchłaniały przeważnie młodych doktorów, którzy przeprowadzili przewody w szkołach wyższych i mieli krótszy lub dłuższy staż dydaktyczny.

Na szczęście próby zepchnięcia nauk humanistycznych na margines badawczy należą już u nas do przeszłości. Proces kształtowania się socjalistycznej cywilizacji, ekonomicznego i społeczno-politycznego przekształcania społeczeństwa łączy się bowiem bezpośrednio z procesem kulturalnego rozwoju mas

— jedno warunkuje drugie. Produkcja dóbr materialnych wymaga równoczesnej „produkcji dóbr duchowych”.

Jak wykazały obrady czerwcowego, międzynarodowego sympozjum w Berlinie, poświęconego problemom rewolucji naukowo-technicznej, istnieje więź między przygotowaniem fachowym pracownika, a walorami jego charakteru. Stwierdzono, że dla wykształcenia osobowości przyszłego technika czy inżyniera, czy pracownika naukowego w zakresie którejś z nauk technicznych, konieczne jest harmonijne powiązanie wiedzy humanistycznej z fachowym przygotowaniem do czynnego uczestnictwa w rewolucji naukowo-technicznej. Wzbogacanie osobowości matematyka czy fizyka sprzyja lepszym osiągnięciom w zakresie danej dyscypliny nauk ścisłych.

Jednym z czołowych problemów Roku Nauki Polskiej jest integracja często rozproszonych źródeł wysiłków jednostkowych, przy równoczesnym nieskoordynowanym wykorzystaniu zaplecza naukowo-technicznego i kredytów. Jakże często asystent uniwersytecki „gimnastykuje się”, by uzyskać możliwość przeprowadzenia koniecznych badań w zakładach politchniki, bądź Instytutu resortowego, a równocześnie aparatura dla niego wykorzystywana przez szczęśliwych jej posiadaczy. Rozdzielony winien być uwarunkowany osiągniętymi wynikami, a nie zapobiegliwością i naturą wyjątkową kierowników zakładów. Specyfika badawcza poszczególnych dyscyplin dyktuje konieczność zwiększenia niektórych pozycji budżetowych, kosztem zmniejszenia innych. Dla humanisty konieczne są wyjazdy do bibliotek i archiwów, kredyty na mikrofilmy i fotokopie. Natomiast potrzeby zakupu aparatury są ograniczone. Znam Instytuty, gdzie stoi kilka „lektorów” do odczytywania mikrofilmów, chociaż użytkowany jest tylko jeden, natomiast wyjazd do biblioteki czy archiwum już

od września danego roku jest sprawą nie do zrealizowania właśnie z powodu braku kredytów.

Ograniczam się do paru przykładów, świadczących o tym, że nauki jako całość nie mogą wlotczyć w ramki wszechogarniających przepisów, gdyż konieczna jest indywidualizacja w podziale środków w zależności od potrzeb.

Rok Nauki Polskiej nie ma na celu wyłącznie podsumowania dotychczasowych osiągnięć. Pracownicy nauki bez względu na miejsce zatrudnienia wiążą z pracami Komitetu Roku Nauki i daleko idące nadzieje na zintegrowanie wysiłków badawczych i stworzenie szerszej niż dotychczas możliwości pracy naukowej w szkołach wyższych.

Nauczyciele akademicy znajdują się w trudnej sytuacji, a niejednokrotnie dochodzi do paradoksów. Np. w kawiarni „Irena” 12. I. 1972 r. na pracę przypadła 1 godzina 55 minut, przerwy — 2 godziny 55 minut; w herbaciarni „Teinka” 16. 5. 1972 r. na czas pracy 4 godziny, na pracę efektywną przypadła 1 godzina 20 minut, przerwa — 2 godz. 40 min.

Zawód muzyka jest trudny i w miarę możliwości przychodzi muzykom z pomocą, udzielając pożyczek z kasy zapomogowo-pożyczkowej i mieszkaniowych, czasów pracowniczych, kolonii letnich oraz innych akcji społecznych.

W miarę możliwości polepsza się warunki pracy, które do tej pory były wyjątkowo ciężkie. W ramach modernizacji wprowadza się w miejsce wentylacji naturalnej lub mechanicznej wentylację grawitacyjną lub klimatyzację, wydziela się podium dla koncertujących, wyizolowując ich z parkietu. W nowo uruchomionych zakładach przewidziane są również wydzielone pokoje dla orkiestry.

Organizujemy spotkania z członkami zespołów muzycznych, przedstawicielami Związku Muzyków, podczas których rozpatruje się nurtujące ich problemy. Uregulowana zostanie sprawa ubiorów dla muzyków. Dostaną oni jednolite dla posz-

wałych w artykule „dyrekcja LPPG ma niewielki wpływ. Tak np. wysokość gaży muzyków zatrudnionych w łódzkich lokalach kształtuje się zgodnie z tabelą miesięcznych plac, stanowiącą załącznik nr 181/67 Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z 25. 7. 1967 r. i w związku z tym trudno byłoby czynić odstępstwa od tego rodzaju zarządzeń.

Czas pracy muzyków ustawowo wynosi pięć godzin dziennie. Przysługują im przy tym 5 minut przerwy na wypocinek po jednej przepracowanej godzinie oraz 30 minut na spożycie posiłku. Efektywny czas pracy zatem winien wynosić 4 godziny i 5 minut. Z przeprowadzonych natomiast obserwacji wynika, że muzycy przeważnie nie są w stanie skrócić czasu pracy, a niejednokrotnie dochodzi do paradoksów. Np. w kawiarni „Irena” 12. I. 1972 r. na pracę przypadła 1 godzina 55 minut, przerwy — 2 godziny 55 minut; w herbaciarni „Teinka” 16. 5. 1972 r. na czas pracy 4 godziny, na pracę efektywną przypadła 1 godzina 20 minut, przerwa — 2 godz. 40 min.

Zawód muzyka jest trudny i w miarę możliwości przychodzi muzykom z pomocą, udzielając pożyczek z kasy zapomogowo-pożyczkowej i mieszkaniowych, czasów pracowniczych, kolonii letnich oraz innych akcji społecznych.

W sprawie restauracji „Casanova” pragniemy wyjaśnić, że niezależnie od naszych postulatów remont wydłużył się w czasie. Sytuacja ta została spowodowana trudnościami natury technicznej. mgr WŁODZIMIERZ MICHAŁSKI (zastępca dyrektora)



SZACHY

Rzadko się zdarza, aby dzieło polskiego autora było ewenementem w skali światowej. Do takich wyjątków należy książka Jerzego Giżyckiego „Z szachami przez wieki i kraje”.

Jest to monografia ukazująca rozwój i znaczenie szachów na przestrzeni dziejów. Dodatkowym jej walorem jest bogata strona lustracyjna — 450

rycin, reprodukcji obrazów, sztychów, karykatur, zdjęć fotosów filmowych, ekslibrisów, znaczków pocztowych. Wiele znakomitych polskich artystów plastycznych (Berezowska, Uniechowski, Zaruba) wykonało rysunki i barwne plansze specjalnie do tej książki.

Imponującą wygląda też lista nazwisk wybitnych wodzów, polityków, władców, myślicieli, uczonych, działaczy, pisarzy, malarzy, muzyków, filmowców, którzy pasjonowali się szachami. A tematem były wiersze, nowel, powieści, dzieł scenicznych, utworów muzycznych, filmów, obrazów, była ta szlachetna gra.

Wszystko to autor w sposób lekki, łącząc felietonową gawędę z cytacjami z dzieł pisarzy i naukowców, anegdotą, żartem, omawia w swym dziele. Nie więc dziwne, że cieszy się ono wielkim uznaniem i to za granicą. Entuzjastyczne są wręcz recenzje światowej sławy arcy mistrzów, w których przepiękają się takie określenia jak „czegóż takiego nie było dotychczas w całej literaturze szachowej”, „jedyna w swoim rodzaju”, „nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknej książki o szachach” itp.

Oczywiście książka została przetłumaczona na takie języki jak niemiecki, angielski, szwedzki, duński, węgierski i rosyjski. Tylko w tym ostatnim miała pięć wydań w łącznym nakładzie 105 tys. egz.

W Polsce ukazało się obecnie drugie, poszerzone wydanie w nakładzie... 3.350 egz. Wszelkie komentarze w tym zestawieniu są chyba zbędne.

Obawa wydawcy, że ze względu na wysoką cenę — 220 zł, książka nie znajdzie nabywców, jest zbyteczna — już jej nie można dostać w księgarniach.

Jerzy Giżycki — „Z szachami przez wieki i kraje”, Sport i Turystyka, 1972, cena 220 zł.

DZIEJE ŚWIATA

Nietypowa dla profilu wydawniczego edytora pozycja ukazała się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Zatyulowano ją „Dzieje świata — chronologiczny przegląd ważniejszych wydarzeń”.

Autorzy podzielili swą pracę na 5 rozdziałów: „Dzieje starożytne”, „Dzieje średniowiecza (od V do schyłku XV wieku)”, „Dzieje nowożytne (od XVI do schyłku XVIII w.)”, „Dzieje nowożytne (1789—1918)” i „Dzieje najnowsze”.

W długim i zawilum wstępie usiłują wyjaśnić motywy jakimi kierowali się przy takim, a nie innym układzie książki i co rozumieją pod niezbyt ścisłym pojęciem, ważniejszych wydarzeń. Stwierdzają, że są świadomi niedostatków i że zastosowana zwięzła forma komentarzy do wydarzeń może prowadzić do niebezpiecznych uproszczeń, niekiedy wręcz graniczących z wulgaryzacją.

Wydaje się, mocno dziwna ta wyraźna assekuracja, biorąc pod uwagę ilość osób zaangażowanych w pracę nad tym dziełem, a mianowicie: 4 autorów, 5 redaktorów naukowych poszczególnych działów, tworzących wraz z przewodniczącym Komitetu Naukowego (prawie wszyscy z tytułami profesorskimi) i na dodatek 5 recenzentów również profesorów, w sumie 15 osób! Winno to chyba gwarantować pracę na najwyższym poziomie.

Nie można oprzeć się przekońskiej refleksji, że gdyby żył dzisiaj Gloger, który „w jednoosobowym Komitecie redakcyjnym” stworzył znakomitą „Encyklopedię staropolską” dysponował obecnie powszechnie dostępnymi materiałami, w krótkim czasie opracowałby dzieło na wysokim poziomie. Nasuwa się jeszcze jedno pytanie: komu ma służyć ta książka, bowiem cena 150 zł skutecznie odstrasza tych, którym, mimo usterek, przede wszystkim byłaby potrzebna.

A.N.

„Dzieje świata” Wyd. LSW, 1972, cena 150 zł.

„PAPIEŻ MARKSIZMU”

„Papieżem marksizmu” nazywano Karola Kautsky'ego — najbardziej wpływowego teoretyka marksizmu z okresu II Międzynarodówki. Karol Kautsky urodził się w 1854 roku w Pradze. Jego ojcem był artysta malarz — Jan Kautsky, matką — Austrijka. Karol Kautsky studiował filozofię na Uniwersytecie Wiedeńskim. Był członkiem partii socjalistycznej — współtwórcą Programu Erfurckiego SPD z 1891 roku. Po śmierci Fryderyka Engelsa był uważany za głównego teoretyka marksizmu i ideologa SPD.

W światowej literaturze marksistowskiej nie ma zbyt wielu prac, które usiłowałyby w sposób monograficzny ukazać poglądy tego myśliciela oraz ich ewolucję. Karol Kautsky wypowiedział się bowiem przeciw rewolucji, choć do końca życia uważał się za marksistę. Po roku 1917 stał się najzagorzalszym przeciwnikiem Lenina i ruchu komunistycznego.

Próby naukowego opracowania całości poglądów Karola Kautsky'ego podjął się historyk myśli socjalistycznej, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego i krakowskiej Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, uczeń prof. Konstantego Grzybowskiego — Marek Waldenberg. Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się jego dwutomowa książka pt. „Wzlot i upadek Karola Kautsky'ego”. W książce tej autor charakteryzuje myśli Kautsky'ego, przedstawia ewolucję, jaką przeszły jego poglądy oraz omawia stan badań nad życiem i poglądami tego teoretyka II Międzynarodówki.

Wydawnictwo Literackie starannie opracowało tę książkę, zaopatrując ją w indeks nazwisk, zestawienia źródeł i wybranej literatury oraz spis ilustracji. Książka posiada też streszczenia w języku rosyjskim, niemieckim i angielskim.

Ta praca naukowa powinna jednak zainteresować nie tylko ludzi nauki, ale wszystkich, którzy ciekawi się przeszłości myśli marksistowskiej, których ciekawi przeszłość ruchu robotniczego i jego współtwórców.

B.M.

Marek Waldenberg, „Wzlot i upadek Karola Kautsky'ego — studium z historii myśli społecznej i politycznej”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, dwa tomy, str. 645 i 682, cena: 180.— zł

Nieśmiertelność przysłów, tych mądrości ludu, jest pozorna, choć przyznać trzeba, iż żyją one w naszej pamięci. Mimo, że nie mają już od dawna żadnego uzasadnienia — a już na pewno w naszym życiu społecznym na linii nieprzerwanego ognia: klient — instytucja. Dzban ciągle wodę nosi, choć ucho dawno się urwało, wilk swobodnie hasa po lesie, choć nosił już tyle razy, a pokorne cieleńko nie ssie — uniemożliwiają mu to z jednej strony lepiej wyrosnięte mniej pokorne cieleńka, z drugiej zaś przysłowiowe dwie matki, nie szczędząc uwag w rodzaju: „odejdz od cycka, ty niezguło!” I tylko pewna mądrość ewangeliczna ciągle jest praktykowana w naszym społeczeństwie, mądrość, która pobrzmiwa przy okazji kontaktów człowieka z urzędem: „Błogosławieni cisi, albowiem ich będzie królestwo niebieskie”. Popatrzmy: społeczeństwo nasze bardzo już mocno się zlaicyzowało, obietnice zawarte w tym wersecie są co najmniej mgliste, a przecież mimo to w życiu codziennym spotykamy się z tymi słowami ciągle. I stosujemy się do nich.

Wracałem któregoś dnia z Warszawy do Łodzi, a ponieważ znalazłem się na Pradze, postanowiłem rozpocząć moją podróż od Dworca Wschodniego, mniej zatłoczonego niż ten, który nosi dumną nazwę „Centralny”. I kiedy wchodziłem do otwartych drzwi wagonu podstawianego już pociągu popiesznego relacji Warszawa — Łódź, rozległ się za mną władczy głos. Wydał go konduktor, przechadzający się opodal. Sens żołnierskiego, krótkiego rozkazu, który usłyszałem sprowadzał się do żądania, abym zamknął drzwi. Ale nie tylko tego wagonu, do którego wsiadalem — również i sąsiedniego. Kiedy spróbowałem niezdecydowanie zaoponować, konduktor wyjaśnił mi jak

mentu postawa pełna rezygnacji i pokory oraz ze strony instytucji lub urzędu — silne poczucie władzy i bezkarności, nader rzadko zakłóconej czy burzonej. Ten stan rzeczy tak mocno wrósł w świadomość społeczną, że prawidłowe funkcjonowanie urzędu przyjmujemy z pełnym wdzięczności oddaniem. Kwitowanym listami i ogłoszeniami pochwalnymi, nieprawidłowości zaś wywołane niedbalstwem, złą wolą czy niedowładem organizacyjnym traktujemy jako coś, co istnieć musi, co ma tradycję i rację bycia.

Od czasu do czasu tylko, kiedy na chwilę okniemy się z oparu absurdów i nonsensów, wyrwa nam się z głębi duszy spazmatyczny okrzyk: „jak

Ponieważ „panienka z międzmiastowej” kazala mi, mimo to, nazwę przeliterować, a ja wyraziłem niejakie zdziwienie, okazało się w następstwie, że nie mogę zamówić dziś rozmowy na jutro — co do tej pory było absolutnie możliwe. Nie pomogło odwoływanie się do reklamacji, nie też nie pomogły chytre próby zamawiania rozmów w następnych dniach — mój numer telefonu został widać obłożony anatamą; teraz będzie musiał zamawiać i czekać, a międzmiastowa załatwi mnie wtedy, kiedy będzie miała na to ochotę.

Ktoś może powiedzieć, że są to kłopoty nietypowe. Są przecież u nas jeszcze ludzie, którzy nie korzystają z telefonów, z kolei, a mimo

oczach tekst: „Przychodzi taki do kawiarni i herbatę zamawia! Nędzarz!” Nie, nigdy! Zamawiam dużą kawę, która jest granicą przyzwyczajenia, przeliteruję z obrzydzeniem ciastko, płacę cztery razy więcej, ale ratuję godność ludzką.

Wchodzę do restauracji i widzę w karcie pierożki z mięsem, za którymi przepadam. Ale pierożki są tanie. Jak mogę mieć czelność zamawiać tanią potrawę u kelnera, tego zasłużonego pracownika gastronomii, któremu wyraźnie przeszkadza w jego ciężkiej pracy? Biorę więc przekąskę, napycham się zupą, dławię wyschniętym w miód brzołem. Ale przynajmniej, choć nie zamawiałem wódki, mogę spojrzeć w twarz kelnerowi. Załatwiam sprawę w urzędzie. I od razu się okazuje, że nie mam papierka, o którego potrzebie — po pierwsze — nie mi wcześniej nie powiedziano, i który — po drugie — wcale nie jest potrzebny. Jak ja się laszę, jak przysilam, jak zakochuję się od pierwszego wejścia w panienkę, od której zależy czy zmarzną jeszcze kilka godzin, czy nie! I jaki jestem szczęśliwy, kiedy wszystko się dobrze kończy!

Wsiadam do taksówki. I od razu czuję się jak moralna szmata. Bo ten człowiek pracy liczy na mnie, że dam mu zarobić przynajmniej 30 złotych, a ja go nisko, podle oszukuję, bo jadę tylko za 10,50 i to w takim miejscu, z którego do najbliższego postoju jest co najmniej 300 metrów.

Kupuję w sklepie wędlinę, np. 30 dkg. Czy mogę powiedzieć „nie” ekspedientce, u której wędlina własnie jest i która mnie pyta „a czy może być 38?”

MAREK WAWRZKIEWICZ

POKORNE CIELEŃKA CONTRA MATADOR

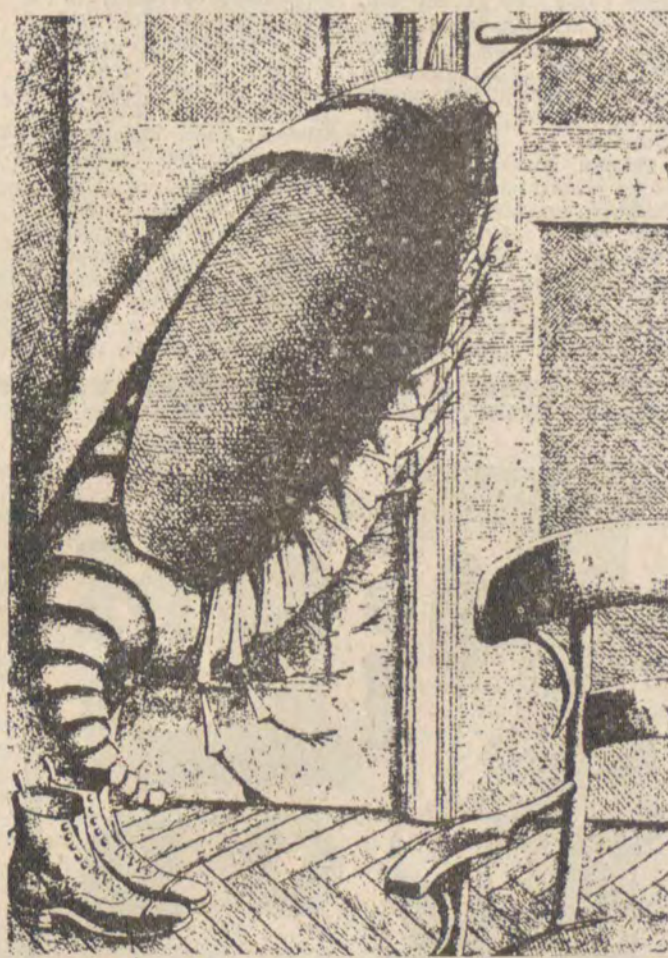
dziecku, całą sytuację: po pierwsze — jest zimno, po drugie zaś — korzystam przecież z PKP. Logika tej argumentacji zrobiła swoje, zamknąłem drzwi, wsiadłem do swego wagonu i popadłem w rozmyślanie. Oto ich ogólny sens.

Pracę zamknięcia dodatkowych drzwi wykonałem niejako w czynie społecznym. Gdyby mnie nie zdruzgotała precyzja argumentacji, drzwi musiałyby zamknąć konduktor, co prawdopodobnie należałoby do jego — a w każdym razie nie moich — obowiązków. Konduktor mógłby ode mnie zażądać pozamiatania wagonów (bo są brudne, a ja korzystam z usług kolei), lub też popchnięcia pociągu (z tych samych względów), wtedy jednak spotkałby się z silnym oporem z mojej strony. Wymagał jednak wysiłku stosunkowo niewielkiego, więc zastosowałem się do jego wymagań. Znalazłem się w sytuacji klasycznej, w której każdy z nas znajduje się co najmniej raz dziennie; ośmielam się korzystać z usług jakiejś instytucji, jestem więc zdany na łaskę i niełaskę (to częściej) mimo, że opłacając jej usługi wg ustalonej taryfy zawieram z nią określona umowę. Wytworzyło się jednak powszechne przekonanie społeczne, że ja — klient — muszę ponosić wszystkie ciężary tej umowy, instytucja zaś nie jest praktycznie zobowiązana do niczego i każde niedotrzymanie warunków umowy może wylumaczyć („może” — bo na ogół nie zadaje sobie tego trudu) przyczynami wyższej, nadprzyrodzonej wagi. W obrębie tej codziennej praktyki wykształciły się dwie postawy — powiedziałbym — psychologiczno-społeczne: ze strony klienta czy konsu-

my samych siebie traktujemy we własnym kraju? i wtedy właśnie spostrzegamy na kółko róg daliśmy się zagnać. Nasze codzienne szamotanie się w siodłach biurokratycznych przepisów, w niewoli niepisanych praw, którymi rządzą się instytucje, w niczym nie przypomina corridy. Owszem, jest arena i jest strojny szamerunkami paragrafów krwawy matador. My jednak — klienci i interesanci — w niczym nie przypominamy rozjuszonego byka, jesteśmy pokornymi i potulnymi cieleńkami. Terror, z którym na co dzień się spotykamy, jest skonstruowany tak przemysłowo, że poddajemy się mu bez protestów. Mnogość przykładów jest doprawdy zastraszająca, każdy z nas może zapewne zacytować ich wiele. Ponieważ ja jestem dziś przy głosie, wysłuchajcie państwo opisu sytuacji, w których właśnie ja występuję w roli cielecika najpokorniejszego.

Od lat już wojuję z PKP, ale moje boje je przypominają bicie głową w potężny mur: najostrejsze, najzłośliwsze ataki radiowo-prasowe nie wywołały, jak dotąd, najmniejszego nawet oddźwięku ze strony tej dostojnej instytucji, która w praktyce codziennej stosuje tryb postępowania wręcz kryminalny; głucha jest zresztą nie tylko na psie głosy użytkowników, ale także na przepisy Kodeksu Postępowania Administracyjnego.

W ostatnich czasach naraziłem się centrali międzmiastowej, z którą do tej pory utrzymywałem stosunki bliskie sielanki. Zamówiłem mianowicie rozmowę międzynarodową z miastem, którego nazwę znać powinien każdy, kto ukończył choćby szkołę podstawową,



Rys. Daniel Mróz

to żyją — wierzę — szczęśliwie. Tak, ale nasze wieropoddanie na tym się nie kończy. Więcej, zmusza nas — rzecz paradoksalna — do życia ponad stan.

Wchodzę do kawiarni w celu napięcia się herbaty. I zaraz za progiem zamiar mój ulega gruntownej rewizji. Bo jak to? Mam za marne 2,50 fatygować kelnerkę, zmuszać ją do zrobienia paru kroków, mam czytać w jej chabrowych czy piwnych

Mijają dni, mijają lata. Obchodzimy święto lasu i tydzień opieki nad zwierzętami. Czy nie można by ustanowić dnia litości dla petenta? Jednego dnia, w którym poczulby się nie pokornym cielecikiem wobec krwawego matadora, a równoprawnym partnerem wobec instytucji. Zlitujcie się nad petentami. Przecież gdyby nie oni — wy nie istniełbyście.



Domy przy ul. Piotrkowskiej zbudowane w latach 1861-1904

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Cóż robić — każdemu tutaj się śpieszy. Gdy cię na ulicy ktoś potrąci, nie znajdujesz czasu, aby rzucić „przepraszam”, wystarczy skrót „przepra”. W ten sposób zmienia się słownik. Zwiewła nazwa: „Łódź”. Lakoniczne zdania: „pięć skrzą”, „trzy wagony”, „porcja gęsi”, „lekarza”, „policję”, „zakład pogrzebowy”. Jeszcze bardziej lakoniczne są myśli: „dolar — ośm złotych”, „zdechnąć można”, „do diabła!”, „aresztować”. Piękne miasto, szczerze miasto! W całej Europie nie znajdziecie takiej złośliwości, takiej chęci do życia, takiej tępoty.

Widziałem zagłębie Ruhry, odwiedziłem Saint Etienne, Lille, Charlerois — ale to wszystko było tylko idyllą. Na Zachodzie istnieje bądź co bądź hamulce duchowe: książki, wspomnienia, formy towarzyskie, wreszcie godność sędziwego wieku. Łódź biegnie na nago po świecie. Podobna jest do matki, ulicznej dziewczyny. Gdyby rzeczywiście czystość była synonimem nowości, to Łódź mogłaby mieć tysiąc lat — ale przecież można się również w ciągu pięciu minut zapaskudzić. Kokieteria byłaby tutaj nie na miejscu. W tym arcybogactwie miasteczka nie ma dotychczas nawet kanalizacji, a jego sześćset tysięcy mieszkańców pomaga sobie dolami kloaczyni. Ulice są tak wąskie, że każdemu narzuca się myśl o jej starożytności. Ale nie, Łódź nie ma przeszłości. Ludzie, którzy zbudowali to małe osiedle, nie przewidywali po prostu ukrytych tu gór złota. Do przebudowy brak czasu, a poza tym nie miałaby ona (namacalnego)

celu. Wąskie ulice? Można iść również przez ciżme uliczki, aby tylko prędko — gdyż są widoki na „trzy wagony”, gdy trzepocze z oddali „czek na Nowy Jork”.

Trudno jest jednak chodzić przez wąskie ulice, równie trudno jak jeździć samochodem w Paryżu. W gruncie rzeczy istnieje tylko jedna ulica — nieskończonego długo Piotrkowska. Tłumy szaleńców pędzą po niej: polscy oficerowie, Niemcy — blondyni, chęty panny („w dzień piszą na maszynie, a nocą tańczą w dancingu”), długobrodzi Żydzi w chałatach i matych czapeczkach. Szczególnie ci ostatni robią niesamowite wrażenie. W ich twarzach małuje się biblijna ekstaza. Dokąd śpieszą? Do synagogi? Modlić się? Bić się pokutniczo w piersi? Nie, Łódź nie jest ścianą płaczu. Łódź jest pościgiem za pieniądzem. I oni śpieszą do tego małego okienka, w którym wywieszono cedule gieldową. Oczy, przyzwyczajone do czytania wzniósłych słów o cnotach i psalmów z prawo w lewo, czytają tutaj z lewa w prawo nazwy nikczemnych i kuszących papierów. Przystają, sprzedając sobie nawzajem po drodze jeszcze coś niecoś w pośpiechu. Ale ulice są wąskie, wąskie, są również chodniki. Wskazany jest pośpiech! Zbliża się policjant! Nie wolno hamować ruchu! Kara pieniężna. Zawroźwienie. Słoty. I znów rwie naprzód spragniona masa ludzka.

Nie w Łodzi nie stoi w miejscu. Wszystko podlega tej cyrkulacji — wagony, sukno, rachunki, maszyny, baknoty, chustki, krawaty, nawet konserwy z jabłek. Nikt niczego nie zatrzymuje! Kupić! Tak, kupić, aby da-

lej odsprzedać. Latający ludzie, latające rzeczy, wyprodukowane nie dla radości posiadania, ale dla obrotu, koszmarnie rzeczy, urojone życie o krótkim oddechu, mające nieuniknione zakończenie w postaci iluzorycznego bogactwa i całkiem realnego grobu.

Widziałem w Łodzi żydowski pogrzeb. Trumna spoczywała w czarnym wozie, a krewni trzymali ręce na krawędziach wozu. Zawodzili. Ale zawodząc śpieszyli się, a szkapa pogrzebowa również się śpieszyła. Śpieszyli na ementarz. To jest prawda tego miasta, której nie można przeczyć.

Zewnątrz jest Łódź szaropopielatym miastem, ale w rzeczywistości lubi so-czystość barw. Woli zdumiewające kontrasty. Nie ma tu bogatych domów, są tylko „palace”. Tak nazywają mieszkańcy mdłe banalne wille dorobkiewiczów włóknienniczych. W wąskich uliczkach, oparach i smrodzie, panoszą się te potężne cielska kamienne z zasłoniętymi oknami, za którymi wśród żyrandoli z brązu i powieści Dekobry marnieją z nudów krótkowłose rodziny łódzkich fabrykantów. Stanowią oni pierwsze pokolenie. Umieją żyć wzbogacając... Ale nie nauczyli się jeszcze wydawać pieniędzy. Nie ma tu ani pomysłów, ani skandali, ani jakiegokolwiek stylu życia. Tutaj są tylko liczby i tłumne jedzenie i tłusta kobieta w jedwabnej sukni, która, splatając na bruchu ubrylantowane bezkształtne ręce, ziewa głośno od rana do wieczora, a od wieczora, do rana nie mniej głośno chrapie.

Ale tuż obok pałaców leży królestwo biedny — Bałuty. Nędza nie zwraca tutaj u-

ŁÓDŹ BIEGA NAGO PO ŚWIECIE

wagi na przeżywany okres historii. Czy jest to dwudzieste, czy też piętnaste stulecie?

Oto ulica żydowskich tkaczy. Od poranka do nocy stoją przy swych ręcznych warsztatach. Zarabiają tygodniowo po 20 złotych. Można za te pieniądze kupić chleba i śledzia. Herbata? Nie, na herbatę nie starcza. A jeśli się po chlebie i śledziu rodzi pragnienie — można przecieć pić wodę. I tak wciąż w kółko, rok, pięć lat, dziesięć lat, przez całe życie. Nerwowo szmerzą warsztaty, śpieszą się tkacze, aby zarobić te 20 złotych, z których trzeba parę groszy odłożyć na śmiertelną koszulę (jakież może uczucie Żyd umrzeć bez śmiertelnej koszuli?) — śpieszą się tkacze: przedzaj, przedzaj!...

A cóż to jest? Ulica galganianarzy. Grzebią w śmietnikach. Maleńki domek. Wechodzimy. Ciężka, cuchnąca nora. Jedynie łódź. Iu was tu mieszka? Dziecię osób. Wszyscy tutaj? Wszyscy. W jednym łódźku? Cóż robić: biedni Żydzi mają rodziny i wielką cierpliwość. Obiad? Śledź. Śledź jest tutaj wszystkim: zupa, deserem, radością, smutkiem — wszystkim. Procentowy stosunek gruźliczych dzieci? Zapytajcie w szkołach — pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent. A pozostałe? Pozostałe są tylko rachityczne lub anemiczne. Na ementarzach również jest ciasno. Ale dziecięce groby zajmują mało miejsca. Szaleńcy! Po co dają życie dzieciom? Zagadkowy uśmiech. Rodzą dzieci, rodzili dzieci, będą rodzicami. Aha, zapomnieli, że się śpieszyli, że chcą żyć, żyć za wszelką cenę, w przeklętych cuchnących podwórzach Bałut, tuż obok pałaców Poznańskiego, wszystko jedno, tylko żyć, żyć!

Jeśli patrzeć na Łódź z lotu ptaka, wygląda ona jak Essen: istna rewia kominów fabrycznych. Cały szereg nie dymi: kryzys lat powojennych stał się chroniczną chorobą. Dużo wielkich fabryk pracuje tylko trzy dni

w tygodniu. Oczywiście. Polska stała się wielkim mocarstwem, ale Łódź utraciła rosyjski rynek. Bo i komuż tam teraz sprzedawać te wszystkie perkaliki, obrusy i chustki? Doremnie łódzcy fabrykanci mają nadzieję, że Rumuni wypełnią tę lukę. To jednak nie wychodzi na jedno: zawierać przymierza wojenne i sprzedawać towary za gotówkę.

Zresztą nie wszystkim tak źle się powodzi. Oto np. „Widzewska Manufaktura”. Potężne budynki na miejscu tych, które się przed pięć laty spaliły. Wspaniałe, najnowsze maszyny. 10 000 robotników. Pracują na trzy zmiany — dzień i noc. Anglicy utworzyli wielkie kredyty i „Widzewska Manufaktura” pobila wszystkich konkurentów. Firma pracuje dla rynku wewnętrznego, dla Bałkanów, dla francuskich kolonii. Dzięki niskiej robociznie towary łódzkie są tańsze od europejskich.

Uważnie obejrzałem „Widzewska Manufakturę”. Jest to znakomita fabryka, w której można studiować wszystkie najnowsze zdobycze amerykańskiej techniki i amerykańskiego wyzysku. Praca lanuchowa — ciśnienie powietrza przepycha bawełnę kolejno z jednej maszyny do drugiej.

To samo dzieje się z tkaniną: posuwa się miarowo z warsztatów tkackich do kotłowni farbiarskich i dalej — aż do sortowni. Wszystko, łącznie z najbardziej skomplikowanymi maszynami wytwarzane jest w tej fabryce (nawet wozy transportowe). Kupowane są tylko surowce: bawełna, węgiel, żelazo, drewno. Wspaniałe są maszyny, które automatycznie supłają końce przędzy i natychmiast ją przecinają (w starych fabrykach wykonywano to ręcznie marnując sporo czasu). Zdumiewająca jest wręcz witalność warsztatów: zerwana jednej nitki zatrzymuje natychmiast całą maszynę, przez co jedna robotnica może obecnie obsługiwać sześć warsztatów. W obszer-nych halach fabryki jest widno i czysto: aparaty

ssaćce pracują bez przerwy wchłaniając cały pył bawelniany. Ustawiane są nowe pompy, które będą doprowadzały do fabryki świeże powietrze z odległego o cztery kilometry lasu.

Po fabryce oprowadzał mnie jeden z właścicieli. Jeździ on co rok do Ameryki i mówi o Fordzie jak chasydzy o cadyku — jest on dla niego wielkim mistrzem i wzorem. Właściciel fabryki jest Żydem, ale nie faworyzuje Żydw: są oni dlań niespokojnym elementem. Z Polakami łatwiej sobie poradzić, szczególnie gdy są ojcami rodzin, a są nimi prawie wszyscy robotnicy. Mieszkają tuż obok, w robotniczym osiedlu, nie w koszarach, a w małych, jednorodzinnych domkach. Jeśli ojciec rodziny odznacza się uległością, to dziecięgo przyjmowane są do „czystego” oddziału — np. do pakowni. Dla robotników urządzane są koncerty i inne atrakcje. Krótko mówiąc, nie jest to zwykłe piekło, lecz piekło oświecone. Płace akordowe — robotnicy zarabiają 32 do 40 złotych tygodniowo. Stanowi to mniej niż minimum egzystencji. Istnieją jednak sklepy spółdzielcze... Oprócz tych sklepów istnieje strażnica we wspaniałych uniformach, których by mogli pozazdrościć hiszpańscy gwardziści. Ci strażnicy nie tylko gaszą pożary, ale utrzymują również porządek. Ich nazwa jest pseudonimem „policji wewnętrznej”. Gdy rodzą się niepokoje, spełniają oni świetnie swe zadanie.

Właściciele mają własną taktikę. Nie należą do „Związku Łódzkich Fabrykantów”. Stoją samotni, jak wielkie mocarstwo. We wszystkich fabrykach istnieją delegaci robotniczy. Tutaj ich nie ma. Robotnikom tej fabryki nie wolno należeć do żadnego związku zawodowego. Muszą się zadowalać udoskonalonymi maszynami, nadziejami na awans i najbliższym koncertem. „Muzyka lagodzi temperamentu”.

Fabrykant: niski, uprzę-ny, dzielny, w bluzie robo-

FILM DROA DWAYEM

Wśród rozlicznych filmowych festiwali, które mnożą się ostatnimi czasy niczym grzyby po deszczu, Festiwal Nowojorski posiada, potwierdzone dziesięcioletnim już doświadczeniem, odrębne miejsce i rangę. Bez jurorów i nagród, bez oficjalnej pompy i zlotu gwiazd jest to w zasadzie przegląd najciekawszych — według opinii organizatorów, a ściślej mówiąc specjalnej komisji selekcyjnej — wydarzeń sezonu, z uwzględnieniem — od czasu do czasu — głośniejszych pozycji poprzednich lat. Co rok niemal uświetnia festiwal kilka światowych premier, w pierwszym rzędzie filmów amerykańskich, oczywiście.

W roku 1972 były to: „Złe towarzystwo” Roberta Bentona, reżyserski debiut scenarzysty słynnego „Bonnie i Clyde”, „Król Marvin Gardens” Boba Rafelsona — opowieść o psychicznym i moralnym kryzysie 40-latków, „Ostatnie tango w Paryżu” Bernardo Bertolucciego — film wslawiony drastycznymi potyczkami z cenzurą obyczajową oraz szwajcarski dokument poświęcony Irlandii „Sens utraty” Marcela Ophulsa.

Organizatorem Festiwalu jest wielce dla krzewienia kultury filmowej zasłużone Stowarzyszenie Filmowe przy Lincoln Center — potężnym ośrodku sztuk widowiskowych, do którego przynależą m. in. słynna Metropolitan Opera. Poważnego poparcia udziela również Stanowa Rada do Spraw Sztuki. Dyrektorem Festiwalu jest znany krytyk, Richard Roud.

Nowojorskim konfrontacjom przyszło z jednej strony idea propagowania nowego, ambitnego kina, z drugiej zaś chęć przybliżenia amerykańskiej publiczności kinematografii innych krajów. W obu przypadkach chodzi o nazwiska i tytuły, które nie tak łatwo liczyć mogą na sukcesy komercyjny, na zainteresowanie tzw. masowej widowni. Rzecz znamienna — Festiwal nie lansuje uznanych już wielkością rangi Antonioniego, Felliniego, Viscontiego, których dzieła bez dodatkowej reklamy potrafią wypełnić sale kinowe, nie lansuje też filmów przyciągających uwagę wspaniałą obsadą gwiazd aktorskich lub najwyższymi laurami Cannes czy Wenecji. Orga-

nizatorzy postawili sobie ambitne zadanie wprowadzenia na ekrany amerykańskie i zarazem zakazania widza bakcydem zainteresowania i zrozumienia dla kina trudnego, mniej atrakcyjnego widowiskowo, wy-magaającego poważnego zaangażowania intelektualnego.

Jednocześnie nowojorska impreza przynosi autentyczną konfrontację nowych zjawisk i tendencji w światowym kinie od „nowej fali” począwszy, a na filmie politycznym skończywszy, konfrontację kinematografii zachodnich i socjalistycznych, które są tu nieodmiennie i to przez najwybitniejszych swoich przedstawicieli reprezentowane, wreszcie konfrontację kinematografii zrodzonych pod rozmaitą szerokością geograficzną, ukształtowanych w rozmaitych kregach kulturowych.

I tak w kolejnych programach Festiwalu znalazły się niemal wszystkie filmy Godarda, francuska „nowa fala”, twórczość gniewnych



Mieczysław Kucner należy do poetyckiego pokolenia trzydziestolatków. Debiutował nieco później niż jego literaccy rówieśnicy — wynikało to zresztą z postawy poety. Dla Kucnera poezja nie była bowiem nigdy irracjonalną igraszką i fascynacją słowem, lecz precyzyjnym instrumentem, artystycznym środkiem wyrazu służącym do formułowania filozoficznego obrazu współczesności. Zawartość myślowa, intelektualna, poezji Mieczysława Kucnera, niebanalność i dociekliwość tych przemyśleń poety sprawiają, że wiersze Kucnera nie są „łatwe” w odbiorze. Przy swojej — pozorniej jednak w gruncie rzeczy — „trudności” są to wiersze bliskie myślącemu czytelnikowi lat siedemdziesiątych.

Mieczysław Kucner debiutował w roku 1966 tomem wierszy „Strona powrotu” wydanym w Wyd. Łódzkim. Swoje poetyckie credo określili wyraźnie w wydanym dwa lata temu zbiorze wierszy „Imię własne” (Wyd. Łódzkie, 1970). Kucner zajmuje się także esesystką, głównie zresztą podejmującą problem sytuacji i „ewolucji poezji”. Takim właśnie tytuł — „Ewolucja poezji” — nosi tom szkiców krytycznych, który ukazał się w tym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

ODWROTY

Bądź dobry. Nie oszczędzaj siebie i mnie. Coraz boleśniejsze upadki i coraz mniej krwi serdecznej. Buduj z tego, co ci wydarto. Płać, płac za wszystko: byłeś i jesteś.

Bądź sprawiedliwy. Odbieraj cios po ciosie. A jeśli uderzysz, to jakbyś brał w siebie ból świata. Tak wiele słów na wiatr, tak mało znaków mówiących. Wracaj do siebie o zmroku i kładź się cieniem na oczach: ta chwila nie powróci.

Kochaj nieprzyjaciół. Obronią cię od wyrzutów. Tu o jednego za dużo, więc ty albo ja. Rób co wolwiek, jeśli pragniesz odchodzić inaczej.

Sądź zawsze po intencjach. Odrzuć podszepty manichejskie. Czerń jest brakiem bieli. Za swoją śmiercią podążaj uparcie.

Lecz umieraj dyskretnie, nie splam chusteczki. Albo nie: oszczędź najbliższych.

Bądź jasny. Ukochaj świat lub słowo, lecz noś także topór. Brutalny dla leż i czuły dla ostrza. Dopadnie cię wreszcie twój sekret, przytroczy tysiącem nici do każdej zmarnowanej szansy: i to będziesz ty.

W TRYBIE WZRUSZENIOWYM

Dopóki nad nami ta puszysta chwila ciepła, dopóki trwasz w świetle muzyki, aby sobie sprostać, wychylasz się z zastów nawyków, zza siedmiu gór i rzek, zza siedmiu jesieni i siedmiu zmysłów, że nawet ciała nieważkość to chwili ilustracja — dopóty ten oddech głęboki idzie w płuca miasta i z pragnieniem rodzi się dom: dwoje w nim zamieszka, którzy śniegiem i wiatrem, krwistym mięsem bytu.

Dopóki ziemia blegnie świetlistym tropem, dopóki ukrzyżowana przez innych daremna samotność i w przerwie radykalnej pomiędzy ideą a okiem jest miejsce na dwoje, ukrytych w swojej nagości — wystarczy zamknąć oczy, dłonie i usta na ścieżkach krytycznych...

MIECZYSLAW KUCNER

Przebrzmiały już nieskładne pieśni i teraz ksiądz kończy tradycyjne przemówienie: „Dobrym był człowiekiem, szanowanym przez nas i kochanym. Taki też pozostanie w naszej pamięci”. Składa brewiarz, kreśli znak krzyża i dodaje — „rzućcie garść ziemi!”.

Krzyk nagły przełączył: Tatusiu! Bracie; Takim dobrym był ojcem! Co zrobimy bez ciebie! Trzy czarno ubrane kobiety objęły trumnę z trzech stron. Po chwili dołączają się także dzieci, które teraz dopiero pojęły, że to koniec ten najprawdziwszy i nieodwołalny. Nie dam! Nie pozwolę! Nie puszczę cię!

„Kochana ciociu!”

Skreślałam do was te parę słów w tej chwili pisząc z K. przyjechałam w sobotę, tata jest bardzo słaby, śpi bez przerwy, nic nie mówi, my go nie obchodzimy, Ciocia Józia z wójkami też dziś przyjechali. Rysiek z wojska też przyjechał i Regina, Stefan i Halinka. Ciociu o ile byś mogła to przyjeżdż, bo ciocia Józia płakała, że chociaż go żywego zastała. Ciociu, dziś było pogotowie i chciało tatę zabrać do szpitala i musieliśmy się podpisać, że nie damy go do szpitala na wykończenie. I tata dostał tylko zastrzyk, to w prawej ręce wszystkie żyły popękaly od zastrzyku. Ciociu, całą noc żęśmy nie spali. Na tym kończę te przykre słowa”.

„I musieliśmy się podpisać, że nie damy taty do szpitala na wykończenie”.

To było tak:

Półtorej godziny przez bezdroża powiatu do K. telepała się karetka pogotowia. Przez piętnaście minut na syrenie,

ZANIM RZUCISZ GARŚĆ ZIEMI

potem, kiedy nie było już co wymijać bez syreny, na biegu terenowym zawadzając o korzenie i grzącąc po osie w płachu parła naprzód, bo w jednej z wiosek powiatu w K. umierał człowiek. Reflektory lizaty pnie drzew, aż wreszcie utkwiły w białym do połowy zapadłym w ziemię domku. Czy tu mieszka? Tu mieszka...

— Otwórzcie okna — to było pierwsze polecenie lekarza. Szybkie nerwowe oględziny. Nie bardzo było co oglądać i decyzyja nastąpiła.

— Musimy go zabrać do szpitala, inaczej umrze. — Lekarz z sanitariuszem pochwylił nosa i wtedy krzyk podobny do tego teraz uderzył w niski pobielany sufit, przywrócił choremu przytomność. Kobiety wcepiły się w rękawy przybyłych. Lekarz i sanitariusz zbaranieli, w sekundę potem wzięli ich złość.

— Do szpitala nie damy! — powiedziała z determinacją jedna z kobiet — on umrze w drodze. — W domu umrze na pewno! — odrzucił lekarz, ale już znowu trzymały go. Blisko godzinę trwała ta walka. Dajmy walka fizyczna i bynajmniej nie o życie chorego.

Stefan, prawie trzydziestoletni dryblas stał i patrzył w sufit. Był młodszy i wiedział więcej, i coś mu się nie zgadzało. Nie zgadzało mu się coraz bardziej, ale milczał do końca. „Nie chciałem powiedzieć: nie — powie po pogrzebie — bo gdyby tata zmarł byłoby na mnie”.

Po blisko godzinie wyczerpany lekarz zrezygnował. Pozornie obojętnie rzekł: — Podpiszcie oświadczenie, że rodzina nie wyraża zgody na przewiezienie chorego do szpitala. Rzućcie się podpisywać — żona, siostra i córka. Tak było. Skąd o tym wiem? Rozmawiałem ze Stefanem i Ryskiem. Rozmawiałem z owym lekarzem i byłem na konsultacji. Podpisał także Stefan. Wtedy to lekarz zaaplikował ów zastrzyk, przy którym, jak przy każdym dożylnym zastrzyku spłynęło kilka kropel krwi.

— I pamiętajcie, że mordujecie go tym uporem — rzucił od drzwi lekarz. — Choremu potrzebna jest natychmiastowa pomoc, i systematyczna fachowa opieka. Systematyczna, fachowa opieka...

„Kochana Rodzino!”

List od was otrzymałam, za który serdecznie dziękuję. Ciociu piszesz, że źle żęśmy zrobili, że nie daliśmy taty do szpitala. Ciociu gdybyśmy go dali do szpitala, to już byśmy go zaprowadzili na cmentarz, tak się cioci zdaje, ale w domu zawsze ktoś czuwał i robiliśmy powietrze octem i smarowaliśmy czoło i pulsa, a to dużo robilo. Tak, jak mama w zeszłym roku zachorowała, chyba ciocia wie o tym, to nie daliśmy jej do szpitala, to do dzisiaj chodzi i pracuje, a za miesiąc zachorowała tak samo sąsiadka Łażyna i zabrało ją pogotowie do szpitala, to rok w lipcu jak leży w ziemi. Kończę i pozdrawiam całą rodzinę.

Do widzenia”

I tak też było! Robili powietrze octem. Smarowali czoło i pulsa, a to dużo robilo. Bardzo dużo robilo, aż zrobiło. A teraz stoja, albo oblapiają trumnę i wrzeszczą. Kilka kropel deszczu sprawia, że wypustki z bibułki, owa ostatnia wyprawa żółtkną, potem brązowieją, miejscami odpadają. Kontrastują ze słowami o szacunku, miłości i pamięci. Klamliwymi słowami. Grabarze niecierpliwie bębnią palcami po trzonkach łopat. Wysoki chłopak w wojskowym mundurze usiłuje interweniować. Trudno, stało się — mówi. Wypada to nieprzekonywująco, sam też ma lzy w oczach, przecież to jego dziadek.

— Gdybym ja wiedział, jak to wygląda, ale nie wiedziałem, a choroba, chorobie nierówna — powie mi później. — Nie rozumieją, nie chcą, albo nie potrafią zrozumieć różnicy między nimi, a rodziną Łażyny. Rodzina sąsiadki uczyniła wszystko, by Łażynę ratować. Oni nie! Rodzina sąsiadki

jest moralnie w porządku. Oni nie! Rodzina sąsiadki może powiedzieć innym i sobie, ale przede wszystkim sobie: — Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby Łażyna żyła”. Oni, nie! Stąd każde ze słów, które pada nad grobem to słowo kłamliwe. Niech więc już wreszcie rzuca tę garść ziemi. No! Rzućcie garść ziemi! Wy...

Kochana Rodzino!

W odpowiedzi na telegram, co tacie jest i żeby go leczyć, muszę powiedzieć, że Stefan wziął pożyczkę i my wszyscy dali trochę grosza i tata ma na śmierć wszystko co potrzeba. Czarny garnitur i nową koszulę i wszystko tak, że nie powstydzimy się przed ludźmi, a ciocia wie, jakie ludzie mają języki, a krowę to jedną weźmie Stefan, drugą Zośka, bo się jej też coś należy, a trzecią, to Maryna. Rozdział jest ze sprawiedliwością, choć tata nie zostawił żadnego testamentu, choć my mu mówili. Ten doktor co był z pogotowia, to zostawił 8 zaszczyków. To my już nie wzywamy pielęgniarki, bo tata wziął dwa i czuje się lepiej, a pielęgniarka liczy sobie 50 zł z podróży za jeden zaszczyk”.

Całuję was mocno”

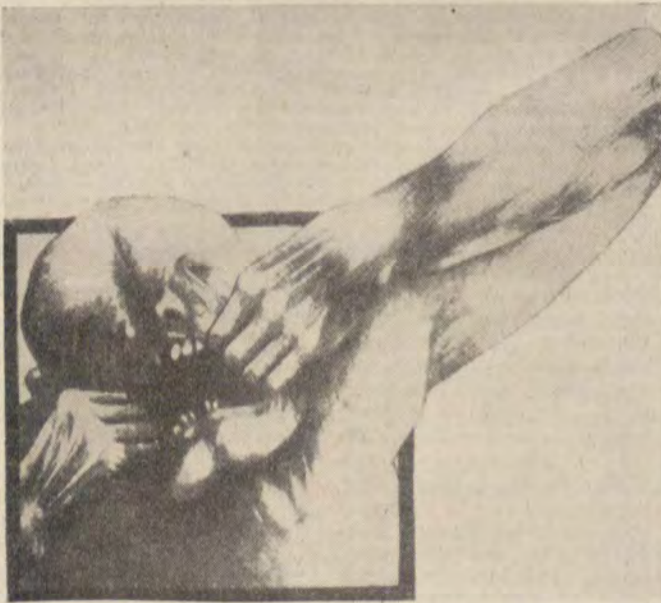
I tak też to było. Wzięli pożyczkę i wszyscy dali trochę grosza i chory miał na śmierć wszystko, co potrzeba, i czarny garnitur, i koszulę, i wszystko. Pokazywali mu to wszystko (wiem od Stefana) i pytali, czy mu się podoba. Wszystko to działo się w tym samym mieszkaniu, w którym plakali, targowali się i kłócili.

Współczesna medycyna przywiązuje ogromną wagę do samopoczucia chorego, do jego wiary w wyleczenie. Z tych to

przyczyn nie tylko z czystego humanitaryzmu lekarz skrupulatnie ukrywa przed chorym prawdziwy stan jego zdrowia.

Tak więc ten garnitur i ta koszula, i wszystko były przysłowiowymi gwoździami do trumny. Włec i to jeszcze... Zastrzyków zostało sześć, leża teraz na parapacie między pełargonią a pryzmatką i trzeba je będzie wyrzucić.

Wies K. nie jest wsią małą. Nie jest też jak cała polska wieś, wsią ubogą. Przedwioń wies K. jest wsią bogatą, wsią ze znacznym odsetkiem własnej inteligencji. Opisywane wypadki nie trwały kilka godzin, minuty. Narastały powoli dzień po dniu, przez wiele tygodni i nie były dla nikogo tajemnicą.



Andrzej Nowacki — grafika

Zaświadczeniem rzyśka, czy któkolwiek zainteresował się chorobą w ich domu, tymi niewykorzystanymi zastrzykami, przyjazdem pogotowia?

— Nie — mówi. Patrzy zdziwiony skąd mi teraz taka myśl. Książd rozkrusza w palcach grudek mokrego piasku i rozsypuje nad dołem. Odchodzi na bok i czyści buty z chwastu.

— Wyrobiliśmy się do jedenastej, tak jak przewidywałem — mówi do organisty.

Grób jest brzydki, niesymetryczny. W otoczeniu bujnego zeschniętego łopianu zarastającego ubogą wiejski cmentarzyk, ten wzgórek żółtego piasku czyni szczególnie smutne wrażenie. W uszach wciąż mam słowa księdza „rzućcie garść ziemi”. I dodaję w myśl od siebie — wy, którzyście tu bez winy. Grabarz uczynił co swoje i przykleka na jedno kolano. Znowu bucha krzyk, nagły, przeciągły, chwytają za włosy, powoduje zelektryzowanie naskórka.

MIROSLAW MIESZCZANKOWSKI

H i G

Każdego widowiska teatralnego. Twórca tego przedstawienia, świadomy tej iluzji, pisze ruchami aktorów, interpretując tekst. Proponując aktorom rozległą skalę środków wyrazu, inscenizator dał możliwość wykazania się sprawnością i umiejętnością technicznymi, jak też i bogactwem wrażliwości. Żywiłowania w sobie samych tych możliwości, była dla aktorów uciechą z uczestnictwa w zabawie. Ich strój; koszulki w granatowo-białe paski sugeruje, że są to natyralni waganoci, cyrkowoci, rozbitkoci, a może mimoci. Ułożona (bardzo skąpo) aktor-torka-kobieta wprowadza nie tylko zmianę sytuacji, ale i nastroju. Jest to okazja do wprowadzenia zmiany stylu gry.

Wszystko rozgrywa się na małej przestrzeni, którą scenograf zabudował ogromną marionetką, babą-naturą (eksponującą rozwinięte wdzięki, a na jej tle rzecz się rozgrywa, a i ona sama czasem „zagra”, wyda Ewę na świat, potem ją pochłonie, to znówu rozdybnie ogromnymi oczyma.

Odnosi się wrażenie, że cała rzecz jest próbą sił i możliwości, propozycją nowego widzenia i uczucia teatru. Twórcy wyrażają poprzez swoje poczyny niewiarę w to, że dzisiejszy widz chce oglądać „historie jak żywe”, a oczekuje czegoś niezwykłego, zmyślnego, czegoś, co służy nie do kształt skojarzeń sennych (tak zresztą dzieje się w innych dziedzinach sztuki i w tym kierunku idą poszukiwania). Autorów opowiadają niepokoję, twórców dręczą wizje nowych form, reżyser mówi w programie:

„Jeśli jednak z tych kawałków, sklejonych i postawionych obok siebie tak, że się sobą dzielą, wyjdzie jakaś myśl, jeśli przemówi nowy obraz, a w tym, co się będzie działo, nie przewidywać tego, czego was nauczą doświadczenia — to nie nie usprawiedliwi Waszego sprzeciwu. I wtedy przystańcie na to”.

A widz przystał na to z niepokojem.

ANNA OMULECKA

Teatr Ziemi Łódzkiej — „H i G” — czyli nasze wspólne małżeństwo: Feriduna Erola i Romana Grzegalskiego. Reżyseria Henryka Kluby; scenografia — Bolesław Kamyskowski, z muzyką Piotra Hertla, choreografia — Janina Niesobka, oświetlenie — Mieczysław Lewandowski, dźwięk — inż. Jerzy Wojtas.

POLEMIKI

styczny, wydrukowany w „Kulisach”. A myślny nie wiedzieli, sterroryzowani przez własną małość i miejscowych kaczków.

I tu się Władziu — Super Star zdenerwował, prosił państwa, okropnie. Woła: „Niech mnie „Odgłosy” przestaną denerwować. Aż śmieszne (oj, święta prawda — przyp. mój), że pismo, które praktycznie „wygrzyło” mnie z miasta, które próbuje „pokryć zasłoną milczenia” fakt,

Żeby zwrócić na siebie uwagę — najlepiej napisać komuś w kapeluszu. Albo powiedzieć publicznie „dupa”. Albo wejść na pomnik Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie i wołać: „Ja jestem ciekawie zapowiadający się pisarz...”

Podobne chwytły obce są mojemu młodemu koleźce, znanemu w Warszawie jako „Władziu — Super Star” — pisującemu w biuletynie Akademii Medycznej. „Władziu — Super Star” znany również w kregach „bliznionych do Festiwalu Sopockiego jako „Władziu — Bileter” publikuje w

WIDZISZ WŁADZIU, GŁUPIO WYSZŁO...

rzecznym biuletynie zwierzenia zatytułowane „Okolice kultury”.

Są to bardzo dzikie okolice. Kultura jest w tych okolicach zjawiskiem nieznanym. Co najwyżej można mówić o kulturze fizycznej — jeśli oczywiście zaliczyć do niej „wolna amerykańkę”.

„Władziu — Super Star”, onże „Władziu — Bileter”, nie pluje w kapeluszu, nie mówi „dupa”, nie woła: „Ja się ciekawie zapowiadam”. On po prostu się żali. On się miota. On drze szaty. Boże ty mój — czego on nie robi, aby tylko było głośno.

Oto, co pisze mój młodszy kolega:

„Niejaki Jerzy Widok, stały felietonista „Odgłosów” czepia się któryś raz z rządu do moich tekstów, próbuje podskoczyć”. (koniec cytatu). „Czepia się DO moich tekstów” — pisze Władziu. Przykro mi, ale naprawdę nie potrafię podskoczyć do tej polszczyzny. Pisze dalej warszawski „Super Star”, który — jak sam wdzięcznie zauważył, wyszedł z łódzkiego g...: „Nie wypisywałbyś bzdur Jerzy Widok...” i dalej już o „Odgłosach”. „Nie tak znów często warto czytać „Odgłosy” — tym razem nie było warto”. I jeszcze dalej:

wa” — przyp. mój) tylko na ostatniej stronie „Odgłosów”. (koniec cytatu).

Dalej część historyczna z czasów, gdy „Władziu — Super Star” tkwił w Łodzi: „W „Odgłosach” było wtedy niezłe bagienko (jak we wszystkich środowiskach kulturalnych Łodzi, terroryzowanych przez własną małość i miejscowych kaczków), pismo jeszcze bardziej denne...” Potem Władziu wyjaśnia, czemu jeden i ten sam reportaż drukował trzy razy w trzech różnych pismach. Jeśli to kogo interesuje, to proszę bardzo:

„Nauczony doświadczeniem — reportaży, który mi poleciano bezlitośnie, opracowałem powtórnie i zmienioną (znaczenie) wersję wydrukowałem w warszawskim dzienniku (...). Pokazałem wtedy tzw. „kuku” (na muniu? — przyp. mój) — pojął one wersje, dzięki czemu reportaż mógł odnieść sukces artystyczny”. wydrukowałem w „Kulisach”.

Trochę było kulawo napisane — trudno podskoczyć do tej polszczyzny, ale przepisuję dokładnie, co Władziu wysmażył. No i proszę! Odnosił sukces arty-

że przecież istnieją, które tak chętnie (prof. Doroszewski skłania się raczej do poglądu, że hołubi pisze się przez samo „h” — przyp. mój) każdą grafomańską książeczkę „łódzkiego pisarza”, a które nie zauważyło przez dwa lata mojej książki...” (koniec cytatu).

Władziu ma rację, bo Władziu pisze książki (ściśle mówiąc napisał jedną), a inni zaledwie „książeczki”. Więc się Władziu — Super Star, nowa gwiazda na firmamencie literatury i sztuki odwraca od nas. Pisze: „Do Łodzi to już chyba nigdy nie wrócić, z tym cieplutkim bagienkiem literacko-knapijnym nie chcę mieć nic do czynienia”. Pewno — mieć do czynienia z bagienkiem, to nie przyjemnego.

Daje nam jednak Władziu szansę. Pisze: „Napuszczę chociażby Jerzego Wilmańskiego (...), aby się Widokowi dąbał do skóry”.

Trzeba może o tym pomyśleć, ale jak dotąd — widzisz Władziu — głupio wyszło. Tobie, niestety.

JERZY WILMAŃSKI

§ WOJNA DOMOWA

Ciągle się mówi o dzisiejszej młodzieży, a zapomina o wczorajszej. Ziółka to były też nieliczne, ta młodzież z rocznika 1896.1902 czy 1912. Właśnie trójka takich wisiuśków z podanych roczników stanęła niedawno przed sądem, oskarżona o wszczęcie bójki po trzeźwemu.

Dwóch chłopców po siedemdziesiątce i jedna dziewczyna w wieku dwukrotnie balzakowskim tak narozrabiali, że wszyscy zostali uszkodowani, nie odnotowano ani jednego zwycięzcy. Ponadto akt oskarżenia podkreślał, że w czasie bójki wszyscy jej uczestnicy używali słów uważanych powszechnie za obelżliwe. Uczestnicy tak nie uważali. Oświadczyli zgodnie, że są zwolennikami zupełnie odmiennej koncepcji językoznawczej, gdyż w rejonie Bałut nawet małe dzieci takich słów bardzo często używają i nikt z tego powodu nie czyni im zarzutu, a prokurator nie ma prawa w szczególności. Cóż z tego, że nazywają rzecz po imieniu, oni dobrze odróżniają słowa oznaczające charakter od

słów oznaczających tylko zawód.

Oddajmy jednak głos poszkodowanym oskarżonym.

Mówi Sabina M.:

— Nie przyznaję się do winy, bo nic nie zrobiłam. Siedziałam sobie pewnego pięknego popołudnia, ściślej 15 sierpnia 1972 roku na korytarzu i czytałam gazetę, to znaczy chciałam powiedzieć „Express”. A dlaczego siedziałam na korytarzu? Bo mam astmę i w mieszkaniu się duszę. Wtem przeszedł obok mnie Kazimierz L. Przechodząc, wytrzącił mi gazetę z ręki i kopnął swoją lewą nogą w moją prawą nogę. Ja zaczęłam krzyczeć i oświadczyłam: „Ty łobuzie, nie daruję ci tego” i wzięłam z korytarza tylko stylisko od siekiery i rzuciłam w niego. Chciałam go

nastraszyć. Wysoki Sąd pyta, czy nazwałam go złodziejem? Ano nazwałam, czemu nie. Na dole, u nas w domu, jest knajpa i jak wychodzą pijani, to on ich dobija. Widziałam, jak raz zabrał jednemu zegarek i kapelusz. Teraz mówię szczerą prawdę, w śledztwie mogłam coś dodać. Kazimierz L. żyje ze swoją pa-sierbicą.

Mówi Kazimierz L.:

— Wracałem z pracy i przechodziłem obok siedzącej na korytarzu Sabiny M. Powiedziała do mnie: „Ty luju, jak lazisz?” Wtedy ja na to: „Co się szmato czepiasz?” Wtedy ona się zerwała i zaczęła mnie bić. Uciekłem na drugie piętro, po drodze odepchnąłem ją nogą. Nie, nie kopnąłem. Jak bym kopnął, to by przecie z mną nie leciała.

Mówi Sabina M.

— Kopnął mnie i uciekł do sąsiada, ale po pół godzinie znowu się zjawił na korytarzu i tym samym styliskiem, którym ja w niego nie trafiłam, a tylko go chciałam nastraszyć, uderzył z kolei mnie kilka razy po głowie, po uszach i całym ciele. Do tego stopnia, że straciłam przytomność i w pogotowiu szwy mi założono na głowie. Po powrocie z pogotowia usłyszałam: Jak ta kurwa założy sprawę w sądzie, to ja zabiję!

Mówi Kazimierz L.:

— Nie przyznaję się do winy.

Mówi mąż Sabiny M.:

— Ja się do niczego nie przyznaję, a zwłaszcza do zarzutu. Byłem tego dnia u

okulisty, a po powrocie do domu położyłem się spać. Zona poszła na korytarz czytać gazetę. Po jakimś czasie przyszła, zbudziła mnie i powiada, że L. ją kopnął w d... Zerwałem się tak, jak spałem i wybiegłem w koszuli na korytarz. Jestem chory i nie mogę się z takim bykiem bić, skończyłem 77 lat. Ażeby go nastraszyć, wzięłam szcztokę, ta szcztoka stała na korytarzu, stara szcztoka, zdatna tylko już do bicia, do zamiatania się nie nadaje. Ale ja go nie biłem, jestem stary, ślepy i ledwo chodzę. Szcztokę wzięłam tylko dlatego, by nie wtargnął do mieszkania. L. jest teściem mojej córki. Dostał jedno mieszkanie, teraz chce drugie, a ja to do lasu pójść mieszkać.

Mówi Kazimierz L.:

— Ja nie jestem winien, nie miałem nic w ręku, nikogo nie uderzyłem. A słońce Sabina M. ma od męża. Zamachnął się on kijem na mnie, a że jest trochę ślepy, pomylił się i kopnął żonę.

Przed sądem przedeflowali także w tej sprawie świadkowie. Pół kamienicy przyglądało się słynnej już dziś bitwie z ulicy Łagiewnickiej. Jednakże świadkowie, poza kolorytem lokalnym, niewiele wniesli do tej sprawy.

Świadek S.:

— Jak zauważyłam, że się biją, zamknęłam się w mieszkaniu i nasłuchiwałam tylko krzyków.

Świadek W.:

— Ja tylko słyszałam, jak L. mówił do Sabiny



M. „Ty szrato, ja cię urządzię, za wiele mi bruzdzisz w życiu.”

Świadek Z.:

— Ja tylko słyszałam, jak Sabina M. mówiła do L.: „Ty chamie!” i posypywała go solą.

Świadek D.:

— Ja tylko zauważyłam, jak Sabina M. biła L. kijem od szcztoki, a L. ją bił trzonkiem od siekiery. Państwo M. byli napastliwi, trzymali pana L. za koszulę i mieli nad nim przewagę

fizyczną. On miał nad nimi przewagę moralną.

Świadek H.:

— Jestem głucha, ślepa, nie widziałam, nie słyszałam, nie wiem, nie było mnie, nie ma mnie...

Postanowienie sądu:

„Wskutek tego, że oskarżeni do winy się nie przyznają i złożyli wyjaśnienia, w których wzajemnie się obciążają, postanowiono sprawę umorzyć”.

KAROL BADZIAK

TV



Układanie programu telewizyjnego to na pewno trudna sprawa. Radiowego również. Różnica jest taka, że ludzie radia nie ukrywają tego faktu i coś próbują w tym zakresie robić. Od 1 marca mamy nowy układ audycji radiowych, nastąpił merytoryczny podział między program I i II. W obecnej postaci programy różnią się między sobą zdecydowanie. Przyjęto zasadę nie powtarzania audycji raz w jednym, raz w drugim programie. Za wcześnie jest na ocenę tych zmian, chociaż samo założenie wydaje się słuszne, a motywy decyzji przekonywujące.

Wspominam o radiowych programach, bo telewizja odłączyła program drugi stojąc przed tym samym dylematem. Recenzenci pisała na ten temat do znużenia. Niestety, bezskutecznie. A przecież taka potrzeba istnieje, wydaje się poza wszelką dyskusją. A jednak? Może przykład radia wpłynie dopingująco na kolegów z drugiego pionu, wspólnego przecież komitetu d/s Radia i Telewizji.

Zaczelismy od programu, więc jeszcze kilka słów na ten temat. Kto wpadł na pomysł, żeby do drugiego programu wstawić „Noc posłubną”, włoski film z Fernandem w roli głównej. Tydzień temu była „Bomba”, rzecz podobna w stylu, a więc można wnioskować, że zanoszą się na swoisty festiwal filmów z Fernandem. Na temat filmów Fernandela wypisano już hektolitra atramentu i nie ma potrzeby dłużej się nad nimi zastanawiać. Poza doskonałą „Czerwoną oberżą” to z reguły filmy klasy B. Po co więc je ekshumować?

Z kolei w bardzo cennym i pożytecznym „festiwalu” filmów Kazimierza Kutza przypomnieli nam film z 1963 roku „Milczenie”. Tego typu przypomnienia mają swoją bezsprzeczną wartość. Mając jeszcze w pamięci o-

statnie filmy Kutza „Sól ziemi czarnej” i „Perła w koronie”, filmy jakże odmienne, możemy z satysfakcją stwierdzić, że były one konsekwentną całością twórczej reżyserii. Nie byłoby zapewne „Perły” ani „Soli” w tak doskonałym kształcie, gdyby nie wszystkie poprzednie próby. Próby? Są wśród nich, jak się okazuje, rzeczy tak świetne jak właśnie „Milczenie”.

Ostatnio Kutz sam sobie pisze scenariusze do filmów. Z „soli ziemi czarnej” powstała nawet powieść, książka dość udana. „Milczenie” wywodzi się z pierwowzoru literackiego, jakim była powieść Jerzego Szczygła pod tym samym tytułem. Od dawna tropię związku literatury z filmem, rzadko z satysfakcją oceniając takie mariaże. Najczęściej są to nieporozumienia, często nadużycia dobrego imienia literatury. Nie można na szczęście tego powiedzieć w przypadku „Milczenia”. Ten dramat psychologiczny, dramat ociemniałego chłopca i starego księdza, narysowany jest najdelikatniejszym piórem. Opowieść Kutza, w realiach tak okrut-

na i bezwzględna, jest relacją humanisty. I jej ostentacyjna wymowa jest również taka, skierowana w stronę życia.



Inny jest Federico Garcia Lorca i jego „Dom Bernardy Alba”. Wszelkie porównania byłyby absurdem, ale oglądając te dwie pozycje dzień po dniu, trudno nie zauważyć podobnego klimatu okrucieństwa i nietolerancji. Darujmy sobie jednak te niezwykle skojarzenia. Dramat z życia hiszpańskich kobiet daje dostatecznie wiele refleksji.

Napisałem: dramat kobiet, ale czy tylko? Na scenie rzeczywiście nie pojawia się mężczyzna. Dom Bernardy Alba to dom samych kobiet. I nie tyle samych, co samotnych, tyranizowanych i poniżanych przez matkę, duszących się zarówno w okowach feudalnego obyczaju i moralności, jak i niszczącej przez istniejący porządek społeczny, który kobiecie narzuca rolę domowego zwierzęcia.

Reżyser Krystyna Meissner odczytała właściwie dramat Lorki, ale przedsta-

wienie jest przede wszystkim sukcesem aktorskim. Ryszarda Hanin, telewizyjna aktorka roku za tytułową rolę w „Matce” Capka, potwierdziła trafność przeprowadzonego niedawno plebiscytu. Przedstawienie było jednak benefisem aktorskim Zofii Rysiówny. Rzadko oglądamy tę doskonałą aktorkę na telewizyjnym ekranie, w tak dużej roli nie widzieliśmy jej od lat. Bernarda Alba Rysiówny to kobieta oschła, twarda, konsekwentna w swym rozumieniu świata w jakim jej przyszło

żyć. Ma świadomość, że nie w nim nie może zmienić, tylko się od niego izolować. I ten stosunek do życia narzuca despotycznie swoim córkom, służbie, wszystkim. I uduje się to jej do pewnego czasu, do chwili buntu najmłodszej córki, której wyzwoleniem staje się dopiero śmierć. W czasach o których pisze Lorka każda próba samookreślenia, buntu, ucieczki — była skazana z góry na taki los.

JAROSŁAW TARNO



Nie przeszkadzaj, oglądam program o wychowaniu dzieci



FILM

PROCES KTÓRY ŚWIAT PAMIĘTA

Autorzy znanego z ubiegłorocznego Konfrontacji filmu „SACCO I VANZETTI” rekonstruują zdarzenia, które rozegrały się w latach dwudziestych w Stanach Zjednoczonych, zapewne nie tylko po to, by przypomnieć historię i przebieg jednego z najgroźniejszych procesów XX wieku. W genezie i klimacie tych zdarzeń odnieśli widać wiele problemów, korespondujących ze współczesnością i z faktu tego wydarzenia — aktualne, publicystyczne postanie tego filmu.

dala Stanom Zjednoczonym początek niezwykle dynamicznego rozwoju ekonomicznego, ale i wzrostu reakcyjnych nastrojów, lęku przed „czerwoną zarazą”, niechęci wobec ciągłe napływających „cudzoziemców”; przyniosła prohibicję i falę gangsterizmu, rozwinęła się wówczas również działalność anarchistów. W sam środek tych wszystkich spraw wprowadza film „Sacco i Vanzetti”.

chody prowadzące pleniadze na wypłaty robotnikom, miejscowa policja doszła wówczas do wniosku, że bandytami mogli być tylko „czerwoni” lub anarchiści i rozpoczęła w podręcznych środowiskach czystkę. Dwaj wosecy robotnicy Nicola Sacco i Bartolomeo Vanzetti, którzy przybyli do Stanów w 1908 roku, w czasie wojny brali udział w ekonomicznych i politycznych strajkach, związani byli również z ruchem pacyfistycznym. W czasie poprzedzającym ich aresztowanie należeli do grupy bostońskich anarchistów. Zatrzymano ich w chwili, gdy na skutek paniki, jaką wywołały liczne aresztowania, postanowili wywieźć z miasta i zniszczyć należącą do grupy z którą byli związani, anarchistyczną literaturę. Wkrótce dowiedzieli się, że są oskarżeni o dokonanie wspomnianych wyżej napadów rabunkowych oraz zabójstwo dwóch ludzi.

stawiono dowody ich niewinności i alibi, demaskowano bezpodstawne „dowody” winy i fałszywe zeznania przepukliwych świadków, wśród których byli również zwykli kryminaliści, znaleziono wreszcie właściwych sprawców — gang Morellich. Przewodniczący obu procesów, sędzia Thayer, nie zgodził się na wznowienie postępowania sądowego i rewizję wyroku, gubernator stanu Massachusetts nie skorzystał z prawa łaski i dnia 23 sierpnia 1927 roku, wbrew protestom nie tylko amerykańskiej, ale i światowej, postępowej opinii publicznej, wyrok wykonano. Pogrzeb Sacco i Vanzettiego był olbrzymią manifestacją, pisano, że długość konduktu pogrzebowego wynosiła 15 kilometrów, na całym niemal świecie odbywały się protestacyjne wiece.

W książce swej Sinclair pisał: „Na ławie przysięgłych zasiadali prawdziwi synowie Nowej Anglii, przeważnie starzy mężczyźni, surowi, o długich twarzach, gdyż młodzi, żywi, zawsze znajdowali sposób, by uniknąć obowiązków sędziowskich. Ludzie o takich nazwiskach jak Burgess, Gale, Litchfield lub Nickerson i Shaw, mieli uwierzyć zeznaniom, które składał Witterio Pappa, albo Carlo Balboni lub też Vincenzo Brini, Enrico Bastoni (...) ludzie czarownicy, o czarnych oczach, szerokich twarzach i wystających kościach policzkowych, nieokrzesani, ponurzy, ubrani w liche, tandemne ubrania, kobiety małe i grube, o szerokich ustach i niskich czołach, bez kołnierzyków przy sukienkach, w fartuchach i brudnych szalach na ramionach, mówiące jakimś cudzo-

ziemskim bełkotem, który na angielski przekładał tłumacz Wloch o wyglądzie bandyty, gorszego od innych. Przecież to byli „Dagowie” (pogardliwa nazwa Wlochów), którzy odbierali chleb od ust starym miśnikom tej ziemi, to mrowie tłoczące się we wszystkich miasteczkach fabrycznych, uzbrojone w rewolwery, żyjące jak świnie i rozmnażające się jak świnie... „Wopy” (inna pogardliwa nazwa Wlochów) trzymają się razem — mówił jeden z przysięgłych — i zgodził się na to wszyscy inni mieszkańcy Nowej Anglii.”

EWA NURCZYŃSKA



HANNA STAŃSKA (grafika)

Tkaniny Barbary Falkowskiej nie wymagają komentarzy, tłumaczeń — są proste, przytulne, ciepłe, jakiegoś dziwnie znajome, bliskie. Cieszą oko subtelną barwą, pozwalają oglądać się długo, cierpliwie dzieląc się z nami swymi małymi tajemnicami. Są, jak obrazy z dzieciństwa, wydobywane mozolnie z dna pamięci. Są wyrazem prostej radości wynikającej z obecności z naturą. Falkowska odczuwa prawdziwą potrzebę „bycia w przyrodzie”, potrzebę zbierania kwiatów na łące. Należy do tego gatun-

ku twórców, których nie interesują ciepłarniane gladiole i sztucznie podbarwiane goździki. Falkowska z radością tkliwością pochyla się nad niezapominajkami, zanurza twarz w żółtych kaczeczkach. Jakże dobrze znam te wzruszenia, Kocham polne kwiaty i wiatr przepędzający chmury po niebie. Te proste, ludzkie wspomniane dziś wzruszenia tworzą klimat jej tkanin. Formy wzięte z natury są ich tematem, budują kompozycje życiwe dla oka i świata. Dodając do powyższego znakomity warsztat Falkowskiej, spotkanie z jej tkaninami dostarcza wielu wzruszeń, które zapadają w nas głęboko i na długo. O tych tkaninach właściwie pisać nie należy — warto je oglądać, mieć je pod ręką, obcować z nimi na co dzień. Ładnie i trafnie o sztuce Falkowskiej powiedział Antoni Starczewski — „ona jest normalna, prosta i normalna”.

Autor wstępu do katalogu wystawy B. Falkowskiej w Parku Sienkiewicza zafundował nam sporą porcję opisów przyrody i Nieboskiej Natury i pajęczych pasji. Znakomite. Drgają mu dźwięki pochylonych paproci, mech mu oddycha, ptaki z czułością gniazda przęda, Orszuli błędną palce i opadają powieki, a zachwały wąż widzi dysputę niewygłaszającą buntowniczą osnową... Nie dziwota, że autor sam przyznaje się do

faktu, iż ma kłopoty „jak opisać zjawisko, które zwie się Barbara Falkowska”. Chciałoby się dać autorowi radę: panie, pan tego nie opisuj, pan to zobacz jeszcze raz.

Z okazji wystawy B. Falkowskiej Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało spotkanie z autorką, połączone z projekcją znakomitego filmu o niej samej, jej tkaninach i warsztacie tkackim. Jerzy Katarasiński w odpowiedzi na mój artykuł o szacunku dla twórców, nazwał mnie publicystą (dziękuję), posiadającym także i pewne wady. I dał mi wyraźnie do zrozumienia, że na razie jeżdżę jeszcze na chabcie polemicznego temperamentu, a nie na rumaku krytyki, ale też udzielił mi swego wotum zaufania, wyrażając nadzieję, że być może kiedyś — pewnie jak będę duży i jak będę fajkę kurzył — dostanę mustanga publicystyki kulturalnej. Gdyby Katarasiński był na spotkaniu z B. Falkowską, sam by bez wątpienia popadł w stylie parlamentarnych parlamentarzystów południowoamerykańskich. Ale ja ten ponury happening najlepiej opiszę — choć słowo tu będzie nikłym ledwie cieniem czy-
nu.

Na spotkaniu zebrało się kilka osób, niewiele, bo akurat coś działo się w Związku. I czekając na film słuchało opowieści pani Falkowskiej o tym, jak, z cze-

w warunkiem, że nigdy żadnego, innego filmu nie oglądali. O warsztacie Barbary Falkowskiej dowiedziałem się z tego filmu tylko tyle, że widlec jest jej podstawowym narzędziem pracy, ale nie wiem czy używa ona falszowanych platełów czy też widelca z kompletu rodowej zastawy. Potem też było fajnie, bo operator usiłował puścić sam dźwięk, ale to przekraczało zarówno jego umiejętności, jak i parametry techniczne bormaszyny czyli projektora. Zainteresowanych pragnę poinformować, że autorem scenariusza i reżyserem filmu telewizyjnego o B. Falkowskiej okazała się (pod koniec) pani Pietkiewicz-Kraśko. Zdjęcia robił J. Kieszkiewicz, a dźwięk (podobno znakomity) niejaki Wojtaś. Mnie osobiście jest przykro, że musiało coś takiego spotkać panią Falkowską akurat w Łodzi, nie mówiąc już o tym, że jest mi głupio, dlaczego takie filmy kręci się o poważnych twórcach. Czuję się w obowiązku przeprosić panią Falkowską za to spotkanie. Za jej wystawę polecam wszystkim gorąco.

PLASTYKA

kolistych symboli materii — świata, przestrzeni, Kosmosu”. Ale że jest to problem uniwersalny, więc doszukał się także rejonów pobliskich takich, jak powstawanie życia, rodzenie, zależności pokrewieństwa, pierwotnych więzi rodzinnych. „Tyle tylko, że poszczególne formy funkcjonują w tych grafikach bez potrzeby odwoływania się do znaczeń poza-plastycznych”. Wolno mu. Dla mnie grafiki Stańskiej są wprawkami kompozycyjnymi, grzecznymi, dekoracyjnymi układami najprostszych form geometrycznych, bez żadnej dramaturgii i ekspresji.

„Jeżeli estetyka prostego znaku — której rzecznikiem jest Hanna Stańska (pisze w katalogu G. Romanowski) — może być krytykowana za swój nazbyt lakoniczny program, to przecież krytyka taka mogłaby być celna tylko wtedy, gdyby chciała przypisywać tej sztuce wizjonerstwo. Natomiast w sytuacji, kiedy propozycja artystyczna sprowadza się do precyzyjnej konstatacji, dokonanej uniwersalnie prostymi znakami plastycznymi — nie nie może szczerości tej konstatacji podważyć”. Możliwe. Próbować nie będę.

ANDRZEJ GRUN

DZIWNY PRZYPADEK DOKTORA BARNARDA...

Szeroki bulwar, mnóstwo restauracji, barów, sklepów i domów mieszkalnych. A w sąsiedztwie — ocean, niebieski i nieskończony. To miasto Si-Point, uzdrowskie przedmieście Kapsztadu, kilka kilometrów od Przylądka Dobrej Nadziei.

Lato rozpoczęło się tutaj 13 grudnia, wraz z okresem urlopowym. Plaże, z ich aksamitnym piaskiem, przepiękne, ludzie tłoczą się przed kolorowymi witrzynami sklepów, zbliża się Boże Narodzenie. Wieczorem na bulwar wylegają tłumy spacerowiczów.

Z włoskiej restauracji „Fiorentina” wychodzi para. Przechodnie przystają i oglądają się ciekawie. Poznają: to małżeństwo Barnard. Znani w RPA — Chris i Barbara. Kierują się na drugą stronę bulwaru, gdzie stoi ich samochód. Zatrzymują się na skraju trotuaru i czekają. Doktor Barnard jest bardzo ostrożny: wiele ofiar wypadków drogowych przeszło przez jego ręce. Potok samochodów maleje, przebiegają więc szybko jezdnią i stają na szerokim białym pasie, dzielącym obie strony autostrady, ale kamienieją z przerażenia: z tyłu, jak spod ziemi, pojawia się żółta ciężarówka i toczy się prosto na nich! W następnych sekundach wjeżdża na białą pas, zwała z nóg Barnardów i ucieka. Kierowca nawet nie zwalnia szybkości...

Na astalcie leży bez przytomności słynny w całym świecie chirurg Christiaan Barnard, a metr od niego, z okrwawioną twarzą, jęczy jego żona, Barbara. Trzasnąła drzwiczki samochodu, zbiera się tłum ludzi. Pół godziny później małżonkowie Barnard są już w szpitalu Groote Schuur, w którym Barnard pracuje i w którym zdobył światowy rozgłos. Nadal nie odzysku-

je przytomności. Nazajutrz rano pojawiają się pierwsze komunikaty: złamane cztery żebra i obojczyk, silne potłuczenia. Zona: okaleczone plecy, złamany obojczyk, rana nogi, uraz kręgosłupa.

Informacja ta oszołomiła wielu ludzi. Ale przerażenie wywołało dalsze szczegóły wypadku: Jeden z naocznych świadków tego wydarzenia rzucił się w pogoń za ciężarówką, ale nie mógł jej dogonić. Jednakże zauważył serię numeru: „SZ”. Wynikało z tego, że samochód pochodzi z Beaufor Wes, małego zakurzonego miasteczka, zagubionego w sawannie, 450 kilometrów od Kapsztadu.

Jakiż to zadziwiający przypadek spowodził ciężarówkę aż z Beaufor Wes na przymorski bulwar Si-Point, żeby pod jej kołami znalazł się znakomity chirurg z Kapsztadu? Odpowiedź może wywołać dreszcz przerażenia: Barnarda nie znoszą w Beaufor Wes, ponieważ 19 listopada ub. roku oznajmił on oficjalnie o swoim wstąpieniu do partii opozycyjnej. Ale coż to jest za partia? Jest to tzw. Partia Zjednoczenia, główna partia opozycyjna w parlamencie, reprezentująca interesy południowoafrykańskiej burżuazji, związanej z brytyjskim kapitałem. Od rządzącej partii nacjonalistycznej różni ją tylko bardziej miękkie podejście do metod segregacji rasowej.

Alle w Beaufor Wes, gdzie cała biała ludność żąda bezwzględnie przestrzegania apertheidu, wystarczyło to, żeby zgodnie z „ogólną opinią w tej sprawie” miej-

scowa gazeta „Kurier” wyciągnęła następujący wniosek: „Barnard sprzedał się czarnym...”

Na odpowiedź chirurga nie czekano długo. „Nie podobam się w Beaufor Wes? Bądźcie spokojni, nie stanie tam moja noga! Czczę pamięć mego ojca. Był misjonarzem i całe swoje życie oddał walce z nacjonalistami, którzy chcieli wypędzić z miasta kongregację ludzi kolorowych, pod pretekstem, że czarni nie powinni żyć razem z białymi. Dziś, w miejscu, gdzie znajdowała się siedziba organizacji religijnej mego ojca, zrobiono boisko do gry w badminton...”

Astronauci, którzy stanęli na Księżycu, nie wywołali takiej sensacji, jak Barnard swoim skalpelem. Wielu ludzi sądziło, że uczone, który mógł dokonać podobnej operacji, jest przede wszystkim w starym wieku, a poza tym członkiem jakiejś akademii nauk. Okazało się, że jest młody, ma 52 lata, lubi się uśmiechać. Ma jasne oczy i żywe spojrzenie. Jest prostoduszny.

Przeszczepiając białemu człowiekowi serce czarnego, Barnard zadał symboliczny cios segregacji rasowej. Idąc tą drogą doszedł do partii opozycyjnej. Rozu-

POROZUMIENIE DRW-USA

Stany Zjednoczone i Północny Wietnam porozumiały się w sprawie powołania wspólnej komisji ekonomicznej, która będzie kierowała amerykańską pomocą przy odbudowie Północnego Wietnamu. O powołaniu tej komisji, która prawdopodobnie zacznie działać już za miesiąc, poinformowano w komunikacie, opublikowanym w Waszyngtonie i w Hanoi w związku z czterdziestymi rozmowami Kissingera z premierem DRW.

W komunikacie przewijają się problemy, które omawiały obie strony oraz wyraża się nadzieję, że porozumienie to zapoczątkuje nowe stosunki między obu krajami.

W komunikacie mówi się także, że strony „dokonały wymiany poglądów w sposób szczery, poważny i konstruktywny”. Po przełożeniu

miał, że zrobił ryzykowny krok i spodziewał się wszystkiego. Tylko nie żółtej ciężarówki...

Christiaan Barnard opuścił szpital 1 lutego br. Szedł wolno, ciężko, ale bez niczyjej pomocy. Obok niego jego żona, Barbara, z gipsem na szyi. W domu czekała na nich góra listów i telegramów z całego świata. Po tygodniu Barnard znow znalazł się w szpitalu, ale tym razem już za biurkiem swego gabinetu. Do witających go kolegów powiedział:

— W ubiegłym roku wykonałem 98 skomplikowanych operacji na sercu i sądzę, że osiągnąłem już szczyt mojej kariery chirurgicznej. Teraz gotów jestem zainteresować się polityką, ponieważ kraj musi mieć nowy rząd.

Kierowca ciężarówki zatrzymano tego samego dnia, spokojnie śpiącego w jednym z domów w Kapsztadzie. Co robił w tym mieście? Nie wiadomo. Oskarżony o spowodowanie wypadku kierowca odpowiedział: „niczego nie zauważyłem i dlatego pojechałem dalej”. Został zwolniony z aresztu za drobną kaucją 40 randów...

z języka dyplomatycznego na język potoczny oznacza to, że chociaż istniały różnice zdań, to jednak rozmowy nie były daremną stratą czasu.

Obie strony przestudiowały konkretne posunięcia, które należy zrobić w celu normalizacji stosunków między obu krajami. W komunikacie nie precyzuje się wyrażnie o jakie posunięcia chodzi, ale daje się do zrozumienia, iż mogą one obejmować wymianę kulturalną i naukową, a także wymianę korespondentów.

Dalej wymienia się również ogólne zasady. Które powinny określać stosunki między Północnym Wietnamem i USA. Podkreśla się bardzo mocno, iż „wszystkie postanowienia Porozumienia paryskiego w sprawie Wietnamu muszą być wypełnione całkowicie i po-

ważnie”. Północny Wietnam i Stany Zjednoczone powinny się starać o stworzenie nowych stosunków opartych na wzajemnym poszanowaniu, niezawisłości, suwerenności i jedności te-

rytorialnej oraz niewtrącania się do wewnętrznych spraw obu krajów.

Północny Wietnam z pewnością dochowa warunków porozumienia, ale czy uszanują je Stany Zjednoczone?

NOWE „SŁUPY HERKULESA”

O tym wiedzą wszyscy: Sycylia jest dziś gigantycznym lotniskowcem USA. Na wyspie rozmieszczono co najmniej trzy magazyny broni atomowej. Ostatnio zaniepokoiły one nawet państwa z miejscowej gazety „Giornale di Sicilia”, którzy permanentnie straszą swych czytelników „czernym niebezpieczeństwem” i nawołują do „pochodu krzyżowego”. Nieco krótkowzroczni pracownicy „Giornale di Sicilia” uderzyli na alarm w związku z przybyciem dwóch eskadr brytyjskich samolotów, które zazwyczaj transportują niewielkie bomby atomowe. Eskadry te zostały przesunięte z Malty do Sigonella w styczniu tego roku.

Otwarcie mówiąc, dodatkowy tuzin bomb w tej ogromnej bazie, gdzie magazynuje się mnóstwo bomb atomowych, a wiele z nich znajduje się na pokładach samolotów strategicznego lotnictwa USA, nie odgrywa żadnej roli. Ale gazeta wyraża zrozumiałe zaniepokojenie również z tego powodu, że „przesunięcie na Sycylię angielskiej bazy lotniczej oznacza przekształcenie wyspy w bazę amerykańskiego parasola atomowego na Morzu Śródziemnym, a to kryje w sobie niebezpieczeństwo wciągnięcia rejonu Sycylii w sferę „zimnej wojny” na Morzu Śródziemnym.

W odróżnieniu od „Giornale di Sicilia”, specjaliści NATO nazywają Sycylię „słupem”, jako że lubią się porównywać do mitycznych porównań. Według planów strategicznych speców NATO, współczesne „Słupy Herkulesa” to Cypr, Sycylia i Gibraltar. Po tej stronie „słupów” jest cywilizacja zachodnia. Po tamtej — kraje arabskie i

Afryka, walczące z neokolonializmem i imperializmem USA. Łatwo dostrzec — dodajmy od siebie — że w środku znajduje się baza afgresji...

Na Sycylii rozlokowano już dziewięć amerykańskich baz wojskowych, zamaskowanych (lub nie) pod firmą baz NATO; dziesiąta jest w stadium organizacji, na wyspie Pantelleria, na południowy zachód od Sycylii.

Największa baza wojskowa znajduje się w Sigonelli, 25 kilometrów od Catanii. Tym ogromnym lotniskiem wojskowym dysponuje dowództwo lotnictwa strategicznego USA. Tutaj wybudowano też dwa pasy startowe dla superfortec B-52, strategicznej siły uderzeniowej lotnictwa amerykańskiego, oraz lotnisko dla samolotów, bazujących na lotniskowcach VI floty.

Morskim „konkurentem” Sigonelli jest Augusta, port, który pod względem wielkości i perfekcji wyposażenia technicznego ustępuje tylko bazie w hiszpańskim mieście Rota. Augusta jest basenem łodzi podwodnych, uzbrojonych w rakiety „Polaris” z głowicami atomowymi. Jest ona także punktem zbiorczym informacji wywiadu lotniczego i morskiego. Na południe od portu Augusta, w Marzameni, znajduje się baza wykrywania, zaopatrzona w radiolokatory, które przeszukują obszar całego Morza Śródziemnego, mając promień działania długości 2500 kilometrów.

Oprac. J. CZECH

KIM BYŁ NADAR?

Niemal zawsze kiedy mówimy o życiu kulturalnym i artystycznym Paryża drugiej połowy dziewiętnastego wieku, a była to epoka o wielu sławnych nazwiskach i wielu znakomitych dziełach, nie sposób nam pominąć Nadara. Kim był Nadar? Rysownik, karykaturzysta, dziennikarz, poeta, pisarz, fotograf portrecista i fotoreporter, żołnierz pod polskimi sztandarami (tak!), aeronauta i dowódca kompanii balonowej jest postacią tak barwną, a jego życie było tak pełne przygód i niezwykłych emocji, że aż dziś bierzemy, iż do tej pory nie mamy w języku polskim ani powieści o nim, ani przynajmniej solidnej monografii.

Nadar — to pseudonim. Jego nazwisko brzmiało Felix Tournachon (a przez jakiś czas spolszczone — Turnazewski). Od dziecka przejawiał już ogromne zainteresowanie zagadnieniami lotu człowieka. Pamiętam, że bracia Montgolfier w roku 1783 dokonali pierwszej udanej próby z balonem, ale jeszcze bez załogi. Młody Tournachon będąc małym chłopcem oznajmił swemu otoczeniu, że pewnego dnia zbuduje przyrząd do latania. Widział już latające balony,

więc postanowił zostać, jak się wtedy określało, aeronautą. Gdy dorósł próbował uprawiać rysunek, potem poezję, ale ani jedno ani drugie nie przyniosło mu sukcesów. Zajmuje się dziennikarstwem i znanymi się z młodymi, wybitnymi artystami swych czasów, malarzami i poetami. Manet, Baudelaire, Nerval — to jego bliscy i serdeczni przyjaciele. W jego to lokalu przy bulwarze des Capucines, gdzie miał pracownię fotograficzną, wystawiają swe obrazy malarze, głównie ci, którzy nie mogą się dostać na oficjalny Salon. U Nadara też w dniu 15. IV. 1874 roku m. in. wystawia swój obraz pt. „Wschód słońca, impresja” Klaudiusz Monet. Słowo „impresja” użyte w tytule, pochwycone zostało przez złośliwego krytyka Louisa Leroya i użyte przez niego w sensie ironicznym. Wbrew intencji owego krytyka, cały kierunek malarski uprawiany przez młodych artystów, nazwany zostaje od tej pory, bynajmniej nie w sensie pejoratywnym — impresjonizmem.

Jak Nadar zostaje fotografem? Otóż pewnego dnia jeden z znajomych proponuje

Nadarowi przybory i materiały fotograficzne. Nadar, początkowo nieufny do nowego wynalazku, kupuje jednak owe przybory, których ktoś się chce pozbyć. Pierwszą w życiu fotografię Nadar robi w ogrodzie Tivoli. Jest tak zachwycony zdjęciem, że postanawia założyć atelier fotograficzne. Dagerotypowe portrety Nadara wkrótce już zaczynają się cieszyć ogromnym powodzeniem. Napływają liczni klienci, a często są to wybitni ludzie owej epoki. Nadar stara się ich sfotografować w pozie jak najbardziej naturalnej, uchwycić, o ile na to pozwalają ówczesne środki techniczne, najbardziej charakterystyczny wyraz twarzy np. w trakcie rozmowy. Szybko staje się znanym portrecistą. Dzięki niemu mamy np. dagerotyp przedstawiający poetę Narvája. Sztuka fotograficzna Nadara nie pozostaje bez wpływu na malarstwo zwłaszcza impresjonistów. Dagerotypy wykorzystywane są jeszcze w inny sposób. Oto niektórzy artyści nakładają farby na portrety fotograficzne sporządzone przez Nadara, lub korzystają z nich przy malowaniu portretów.

Lecz Nadar dziennikarz i fotograf nie przestaje marzyć o lataniu. Z dwoma znajomymi zdobywa wreszcie balon i wznosi się w powietrze. Łącząc obydwa zainteresowania, loty i fotografie, wykonuje pierwsze w świecie zdjęcie z lotu ptaka. I ta fotografia nie pozostanie bez wpływu na malarstwo. Bo oto impresjonści m. in. pod wpływem widoku zdjęć z balonu, zrywają z utartymi schematami kompozycji malując np. krajobrazy z lotu ptaka.

„Felix Tournachon był powszechnie lubiany” — pisze o Nadarze w swej niedawno wydanej książce o Nervalu Julia Hartwig. „Ten rudy olbrzym i żyzny dla całego świata, potomek znanych drukarzy lyońskich, odznaczał się za młodu niegąsnącym zapalem, z jakim rzucał się w coraz to nowe przygody. Był jednym z pierwszych, którzy puścili się w podróż balonem, a co jeszcze ciekawsze dla nas — zaciągnął się ochotniczo do oddziału polskiego, by wziąć udział w walce o niepodległość Polski w kampanii roku 1831”.

Gorzką przeżywa klęskę powstania, wraz z falą uchodźczą wraca do Francji. Nadar, który na okres walki pod polskimi sztandarami przybrał nazwisko — Turnazewski, znow wyrusza pod tym nazwiskiem do Polski na wieść o wybuchu powstania wielkopolskiego 1848 roku. Sporządziwszy dla siebie i swego przyjaciela fałszywe papiery, Nadar próbuje dotrzeć w poznańskie. Niestety zostaje aresztowany w drodze i przez czas jakiś przetrzymywany przez władze pruskie. Wraca do Paryża. Nadar staje się pierwszym w historii fotoreporterem wojennym, który unosi się w balonie i dokonuje zdjęć podczas wojny włoskiej w roku 1859. Balon jednak ulega niszczeniu.

W redakcji paryskiego pisma poświęconego sprawom naukowym Nadar spotyka Jules Verne'a i wkrótce między tymi ludźmi zawiazuje się silna i długotrwała przyjaźń oparta na wspólnych zainteresowaniach. Obydwaj marzą teraz o zbudowaniu wielkiego balonu, którym można by odbywać pod-

różne na znaczne odległości. I oto ich marzenie spełnia się. W dniu 4 października 1863 r. gromadzi się dwadzieścia tysięcy osób na Polu Marsowym by śledzić start wielkiego balonu „Geanta”, którym Nadar wraz z przyjaciółmi udać ma się w daleką podróż napowietrzna. Niestety wada techniczna sprawia, że balon nie leci zbyt daleko. Ale zafascynowany lotami Nadar nie zraża się tym niepowodzeniem. W następnej wyprawie balon leci aż nad Belgię i Holandię. I tu następuje wydarzenie tragiczne. Oto rapłowny wicher atakuje napowietrznych podróżników.

Balon młotami gwałtownymi podmuchami opada, zrywa druty telegraficzne, omalże nie dostaje się pod przejeżdżający akurat pociąg i wreszcie wpada do wody. Nadar wychodzi z tej przygody ze złamaną kością strzałkową. Ale od czasu owej przygody robi się sławny

jako aeronauta, a wydawane przez niego czasopismo „L'Aéronaute”, podwaja ilość czytelników.

Nadar i Verne przemysłują teraz nad budową maszyny latającej, cięższej od powietrza, poruszającej się przy zastosowaniu śmigła. Prace zostały przerwane przez wojnę 1870 roku. Nadar w objętym Paryżu zostaje komendantem kompanii aerostersów. Pod jego dowództwem sześćdziesiąt cztery balony przewożą droga napowietrzna pasażerów, kurierów i korespondencję.

Umiera w roku 1910. Dożył czasów, w których samoloty były już wynalazkiem a Francuz Biériot, jako pierwszy przeleciał nad kanałem La Manche.

Postać niezwykłego człowieka, Nadara stała się modelem Ardana, bohatera powieści pt. „Z ziemi na księżyc” Jules Verne'a.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ



PRZECZŁOŚĆ

terazniejszość

DNI LUTOWE 1846 ROKU

(Przypomnienia)

Rok 1846. Dnia 20 lutego kanclerz cesarstwa Austrii, K. Metternich w memorandum, skierowanym do rządu francuskiego informował o zagrożeniu rewolucyjnym w Krakowie. „Nawet władze i osobistości urzędowe — pisał — przestraszone są groźbami wygłaszanymi publicznie i przesyłanymi im bezpośrednio przez ludzi znanych jako rewolucjonistów”. Carat gromadził wojska w pobliżu granicy Wolnego Miasta Krakowa, otwarcie domagał się zbrojnej interwencji ze strony Wiednia, oferował doraźną pomoc zbrojną. Chociaż 18 i 19 lutego oddziały austriackie pod dowództwem gen. L. Collina wkroczyły do Krakowa, przygotowały do powstania nie zostały przerwane.

W atmosferze narastającego napięcia gen. Collin decyduje się na opuszczenie miasta; jednocześnie opuszcza Kraków spora grupa przedstawicieli władzy i lokalnej elity arystokratyczno-miejszczyńskiej. Ledwie austriackie oddziały przekroczyły most wiodący na Podgórze, w różnych częś-

ciach miasta rozległ się okrzyk: „do broni!”. Tego samego dnia, 22 lutego, ukazał się na murach Manifest Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej do narodu polskiego. „Polacy! Godzina powstania wybiła, cała rozszarpana Polska dźwiga się i zrasza...!” Manifest nowo powołanego Rządu Narodowego stawiał jako nacelną sprawę narodowo-wyzwoleńczego powstania, czyniąc ją jednocześnie sprawą ludu, wiązał walkę o niepodległość z walką o wyzwolenie społeczne.

Mimo początkowych, wcale niebiałych sukcesów, powstanie się nie powiodło. Stało się tak nie tylko dlatego, że radykalne idee rewolucyjnych demokratów w rodzaju E. Dembowskiego napotykały na silny opór nawet wśród przywódców ruchu, że rodzime siły kontrewolucji zaktywizowały się w obliczu zagrożenia „komunistycznego” (termin to współczesny), że wreszcie armia austriacka i wspomaganą ją wojsko carskie przedstawiały siłę wielokrotnie przekraczającą siły powstańców. Powstanie krakowskie,

jak i zryw powstańczy w całej Galicji zakończyło się klęską przede wszystkim dlatego, że pomimo, iż głośno znieśli pańszczyznę, proklamowali uwłaszczenie chłopów posiadających ziemię i czynili obietnice w stosunku do bezrolnych, mimo owego rewolucyjnego na owe czasy i warunki programu społecznego, rewolucja nie zyskała poparcia ze strony tych, którym przyszła wyzwolenie — samych chłopów. Tym razem nie polska demokracja, ale jej najzacieklejszy przeciwnik, feudalna monarchia austriacka potrafiła zręcznie zdyskontować dla siebie rzeczywistą sytuację rewolucyjną, jaka nabrała na wsi galicyjskiej. Uczyniła to nadzwyczaj sprytnie i, niestety, wcale skutecznie. Tylko jednostki poszły do uważanego wciąż za „pańskie” powstania, wielokrotnie więcej chłopów uwierzyło antypowstańczej propagandzie, dało się pozyskać do wyłapywania powstańców i odstawiło ich do cyrkułu. Masowy ruch chłopski, zrodzony z drastycznych konfliktów klasowych, obrócił się przeciw szlachcie oraz... przeciw powstaniu.

Rabacja galicyjska — wielka, na niespotykaną dotąd w Polsce skalę eksplozja nienawiści klasowej, pod względem politycznym zdyskontowana została przez władze zaborcze. Jeden z czołowych aktorów chłopskiego ruchu — Jakub Szela — odsądzany przez jednego od czci i wiary, dla drugiego bohatera bez skazy i męczennik sprawy ludowej, to postać, którą do dziś oglądamy przez pryzmat mitów i legend.

Liczący sobie już koło sześćdziesiątki gospodarz ze wsi Smarżowa, wyrósł na przywódcę wsi w konflikcie z dworem. Kiedy mścił swoją osobistą krzywdę miał przekonanie, że działa w interesie ogółu. Ukazał niewątpliwie zdolności przywódcze. Zakres jego działalności był niemały: w jej zasięgu rozbito 30 dworów i zabito 48 osób. Marksistowski historyk pisze:

„Analiza ruchu chłopskiego pod wodzą Szeli wykazuje, że ani jednego z zabitych lub „aresztowanych” szlachciców, oficyalistów czy mandatariuszy nie przekazał on w ręce władz austriackich, mimo że „pertraktował” z nimi w sprawie powstańców i wykorzystywał „opiekę” cyrkułu w celu ostatecznego rozprawienia się z dworem. Mając formalne poparcie władz austriackich, Szela jednocześnie coraz bardziej wchodził w rolę niezależnego przywódcy chłopskiego”.

Odrzucając wszystkie zarzuty, formułowane pod adresem Szeli przez jego klasowych przeciwników, nie sposób oddalić tego, że był on w zbyt bliskim kontakcie z władzami austriackimi i w jakimś sensie stał się narzędziem chytrej polityki starosty tarnowskiego, J. Breinla. Sam realizując znieśliście pańszczyznę rozповідаł, że zlikwidował ją „cysorz”, powoływał się na rozmowy z Breinlem i jego rozkazy; nawet wówczas, kiedy stał się więcej niż niewygodny dla Austriaków, otrzymał gratyfikacje w pieniądzech, pertraktował, póki go dyskretnie nie aresztowano. Wcześniej wpłynęło do urzędu gubernial-

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



nego jego arcywielmożnego dla władz podanie napisane w imieniu 50 wsi z obwodu jasielskiego i tarnowskiego, w którym dawano wyraz przekonaniu, że żadna przemoc panów i księży nie zmuszą już chłopów do dawnego posłuszeństwa. Władze austriackie miały teraz sto powodów po temu, aby się Szeli jak najszybciej pozbyć, toteż przesiedliły go na Bukowinę.

A więc — ani rewolucyjny bohater bez skazy, ani prokurator na usługach zaborcy. Szela — pisał przed laty S. Kleniewicz — „nie zdobywszy się na wyłamania spod rozkazów Breinla, przeszedł do tradycji dziejowej nie jako przywódca ludu, a tylko jako ślepy mściciel jego krzywdy”.

LEKTOR

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

ODKRYWANIE PIOTRKOWSKIEJ

Niedawno w Łodzi rozszalała się elektryzująca wiadomość: prof. Wiktor Zin odkrywa Piotrkowską! Zachwyciło się tym faktem parę osób w telewizji i prasie — mnie też się pomysł spodobał, bo znam moc działania szklanego ekranu i przecież Piotrkowska warta popularyzacji, bo naprawdę jest piękna, jeśli dobrze popatrzyć...

A jednocześnie czytając zachwycone komunikaty, ogarnęła mnie zaduma i przypomniałem sobie taki fakt. Oto w telewizji (łódzkiej zresztą) wypowiadał się

na temat literatury pewien dyrektor fabryki. Powiedział mniej więcej tak: „Ludzie chcą książek o Łodzi, ale książek o Łodzi nie ma, pisarze nie piszą o tym mieście, brak literatury o tematyce łódzkiej...”

Był to prawdopodobnie bardzo dobry dyrektor, ale jako znawca literatury, a nawet jako zwykły czytelnik, okazał się dość mierny. Bo książek o tematyce łódzkiej jest dużo — jest ich co najmniej kilka set.

Przypomniała mi się ta historia, gdy czytałem zachwycone komunikaty o od-

kryciu Piotrkowskiej przez prof. Zina. Bo Piotrkowska została dość dawno „odkryta”. Nieraz już sobie myślałem, oglądając kurne chałupy rysowane przez profesora, że dobrze byłoby namówić go do sportretowania przed wielomilionową widownią — ulicy, która jest wizytówką i symbolem Łodzi historycznej. Stało się więc znakomicie, że łódzkiej telewizji udało się do tego programu doprowadzić.

Ale po co zaraz krzyżeć: „Eureka!” Nie umję się chwalić ani łódzkiej telewizji, ani profesorowi Zinowi, jeśli się przy tej okazji wspomni choć jednym ciepłym słowem o ludziach, którzy o rangę dla tej ulicy wojowali, którzy ją opisali, którzy ją rysowali — wydali o niej książki i albumy...

A tu nic — martwa cisza. Jeszcze jakoś przejdzie przez gardło nazwisko Wilkoszewskiego, który w końcu wieku XIX fotografował Łódź. Ale o tych, którzy żyją, którzy wczoraj i dziś — całe lata poświęcili na opisanie piórkiem i piórem

tej ulicy — o tych wspomnień się nie godzi?

Oto nasz partykularyzm w całej krasie!

A przecież przed prawie pięcioma laty Wydawnictwo Łódzkie wydało piękny album rysunków Wacława Kondka „Piotrkowska”. Jeśli się wspomina o fotografiach Wilkoszewskiego, „udowadniająca przekonująco”, że Łódź nie jest brzydka, to przecież nie od rzeczy będzie dodać, że artystyczne szkice Kondka w daleko większym stopniu „udowadniają przekonująco”, że Piotrkowska ma wdzięk, urok i krasę...

Proszę mnie dobrze zrozumieć — to naprawdę nie chodzi o to, kto był pierwszy — bo przecież pierwsza była sama „panna Piotrkowska”. Chodzi natomiast o pamięć dla czyjeś roboty, dla czyjeś dobra. Nie można, zachwycając się jednym dokonaniem, spychać w zapomnienie inne dokonania. Może mniej popularne, może mniej gwiazdorskie, ale może piękniejsze? Upominać się tu o Kond-

ka, bo rzadko spotyka tego artystę „feta” i „publicity” — a to przecież nie kto inny, lecz właśnie on chodzi od lat po mieście szkiejąc pracowicie i pięknie starą, odchodzącą w przeszłość i gruz — architektura. Wydał prawdziwie piękny album „Piotrkowska” przed prawie pięciu laty, za miesiąc — dwa ukazuje się jego następny album — „Pałace łódzkie”, za rok — półtora ukazuje się następny album „Fabryki łódzkie”... Jest to, wierzyć mi, jedna setna tego, co Kondk narysował, zebrał i uchronił swym piórkiem od zapomnienia.

Nie przemilczajmy więc tego trudu i tego dzieła przy okazji zachwyty nad rodzajem się programem telewizyjnym.

I druga sprawa. Zupełnie nie wyobrażam sobie programu o Piotrkowskiej bez udziału książki doc. Anny Rynkowskiej, „Ulica Piotrkowska”. Mogę sobie doskonale wyobrazić ów program bez fotografii Wilkoszewskiego, ale żadną miarą nie da się go zrealizować bez

dokumentacji zawartej w tej książce. Niezależnie od zapowiedzi, jakimś tropem chcą pojąć autorzy programu, bez tej jedynej w swoim rodzaju książki doc. Rynkowskiej — nie ruszą z miejsca.

Ale i to nazwisko jakoś umknęło w zachwytach nad programem.

A przecież nie chodzi tu o odbieranie komuś chwały, czy popularności i prof. Zinowi wcale takie przemilczenie czyichś dokonań nie są potrzebne. Właściwie to wszystko dzieje się poza nim — w naszym partykularnym światku. Tu właśnie tu powstała owa słynna anegdota: „Panie R. dlaczego pański syn nie koncertuje w Łodzi?” — „A przeciw komu on tu może grać?”

Jeśli więc prof. Zin ma „koncertować” w Łodzi, już się na Piotrkowskiej zastanawiają „przeciw komu” on tu będzie grał. Zmieniają się lata — obyczajaje zostają. Przykro patrzeć.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

AMELIO, NIE PODPADAJ!

Ponieważ mamy w tym tygodniu Święto Kobiet, że przypomnę ciekawą a zabawną drobiazg, wyszukany przez Tuwima w starych analogiach „Muchy”. Oto w 1897 roku zamieścił ów satyryczny tygodnik wiersz samego Henryka Sienkiewicza, poświęcony piękności kobiet polskich, a zatytułowany „Do Pani Z. O.”:

„Nie jest to przesada żadna ani też ułuda, bo w Zakopanem każdy miał na to dowody, że gdy się czasem Polka Panu Bogu uda, to już, mówiąc po prostu,

kiekajcie narody! Dziś — myślę o tej prawdziwej w ojezynie gondoli, kiedy toń modro — jasną kolyszają zefiry, i myśląc — ot sam nie wiem czemu — mimo woli idę zawsze pod cichy most „del Sospiri”.

Wierszyk — jak widać — pisany był w „ojczyźnie gondoli” — w Wenecji, gdzie na samo wspomnienie pięknej pani Z. O. pan Henryk szedł pod Most Westchnięcia. Niestety, wierszyk ten do czekał się rymowanego komentarza, z którym trudno się nie zgodzić, na łamach tejże „Muchy”:

„Ty, co tworzysz takie dziełne i głośne powieści, dajże spokój z rymami od siedmiu boleści”.

Jeśli zaś cofniemy się jeszcze głębiej, do drugiej dekady ubiegłego stulecia, znajdziemy ocenę roli kobiety, skreśloną również kobiecą ręką, i to nie była czyja, bo pani Klementyna z Tańskich Hofmanowej, znakomitej naszej pisarki:

„Kobieta łagodzie, miękczyc, uszczęśliwiać śmialego, mężczyźnić powinna; jeżeli pięć męska władza światem, nasza go upiększa, Znieść nie może, kiedy się głos jaki nierozsądny odezwie i twierdzi, że że, iż kobiety są w tak szepczonym podług niego zamknięte obrębie. Jego zdaniem, równo mężczyznom powinny posiadać nauki, do rządu należeć, ledwie, że nie pierwsze urzędy piastować i chyba nie być kobietami. Amelio! Nie podpadaj szalonej tej żądzy; kobieta słodka, ciępliwą, uprzejmą, skromną, rozsądną, kobietą taką, jaką być każda powinna, ceche niebieskiej istoty na sobie nosi...”

Dziś ideał kobiety jest

oczywiście krańcowo inny, chociaż nadal bardzo panom do twarzy ze słodyczą, łagodnością i uprzejmością. A poza tym to od dawna już zauważyłem, że z towarzyskiego punktu widzenia panie na całym chyba świecie dzielą się na:

Δ i takie, które łatwo zyskują sympatię panów, a bardzo są nielubiane przez kobiety,

Δ i takie, które wszędzie mają mnóstwo przyjaciół, są wśród nich niezmiernie popularne, calowane, obsypywane serdecznościami, a wśród mężczyzn jakoś spustoszenia nie sieją.

Te pierwsze są dowcipne, pięknie ubrane, zalotne, pikantne, zawsze czujne i czułe na męskie spojrzeńca, rozkwitające w pełni tylko w towarzystwie panów, nudzące się raczej w towarzystwie swych rówieśniczek. Każda rówieśniczka przeczuwa w każdej z nich potencjalne zagrożenie swego męża, a więc i swojego własnego

bezpieczeństwa. Każda więc najeża się z punktu, gromi w duchu — albo i całkiem głośno — tamtą za kokieterię, za wieczną chęć podbojów. Może jest w tym trochę zazdrości.

Te drugie — urodzone przyjaciółki z nieustanną chęcią niesienia pomocy wszystkim dookoła — są mniej błyskotliwe i dowcipne, nieraz za to mądrzejsze, mniej zdobywcze — a za to o lepszym, wrażliwym sercu. Spełniają obojętne tysiące drobnych przysług i są nadużywane. Można na nie liczyć — więc babki z bliźszego i dalszego otoczenia korzystają z tego, rozewając się damskim calusem, słowami takimi jak złościutka, kochanecczku, jesteście urocza... Do tańca są zapraszane rzadziej, niż do wymiany poglądów na tematy gastronomiczne, pedagogiczne, medyczne.

Uroda nie ma tu żadnego znaczenia. W obu grupach są panie ładne i śliczne, mo-

że nawet więcej w grupie drugiej, wśród kobiet „w guście” kobiet. Jeśli taka kobieta zawróci nagle w głosie mężczyźnie — zresztą to było dawno i mężczyzna już dawno jest jej mężem — to musiał to być jego- toś o pewnych damskich cechach charakteru. Czyli nie grożą mu kobiety „w guście” mężczyzn. Czyli wydawałoby się, że obojgu nie nie grozi, gdyby nie to, że ludzie się zmieniają i kto tam wie, co starszemu panu może jeszcze strzelić do głowy.

Czegóż więc życzyć panom z okazji ich święta? Niech każda zostanie sobą i niech będzie przy tym szczęśliwa. Każda po swojemu. Zyczenie jest bardzo serio, chociaż cała reszta to taki sobie żart. Zamiast śmiesznej, ale serdecznej laurce od

ĆWIEKA